



REBECCA LANG

POWIEDZ MI PRAWDĘ



Tytuł oryginału: The Surgeon's Decision

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Kod numer sto. Kod numer sto. Pokój pięćset dwadzieścia dziewięć, blok Edith Cavell. Powtarzam: pięćset dwadzieścia dziewięć, Edith Cavell. Proszę się zgłosić: doktor Jarrad Lucas, doktor Claud Moreau, doktor Laurei Hartę.

Głośny, wypowiedziany bezosobowym głosem komunikat zakłócił ciszę szerokiego i, jak przystało na niedzielne popołudnie, opustoszałego korytarza.

- A niech to... szlag! - Doktor Laurei Hartę zatrzymała się w pół kroku, odwróciła na pięcie i ruszyła pospiesznie do najbliższej windy. - Jasne: zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe - powiedziała i westchnęła z rezygnacją.

Kod numer sto oznaczał zatrzymanie pracy serca. Musiała zjechać na kondygnację poniżej parteru, żeby najkrótszym przejściem dostać się do bloku Edith Cavell. Dwa ciężkie bagaże w dłoniach nie pozwalały jej biec. Oprócz zwykłej lekarskiej torby niosła pełną walizkę książek, z których opróżniła właśnie swój gabinet.

Był to jej ostatni dzień pracy w Szpitalu Uniwersyteckim w Gresham, w stanie Ontario, ale zgodziła się zastąpić na popołudniowym dużurze kardiologicznym koleżkę, którego wezwano pilnie do zabiegu transplantacji nerek.

- No już! Szybciej! - szeptała błagalnym głosem, wciskając nerwowo guzik windy.

Zanim po raz kolejny spojrzała na zegarek, przeczesała palcami swe czarne, długie włosy i odrzuciła je na plecy. Na sam dźwięk nazwiska Jarrada Lucasa dostawała skurczu żołądka, a wprost paraliżowała ją perspektywa spotkania go przy łóżku pacjenta, któremu będą musieli wspólnie ratować życie.

- Pokój pięćset dwadzieścia dziewięć... - powtórzyła na głos, kiedy znalazła się w windzie.

Pacjent z tego pokoju nazywał się Foley, miał ponad pięćdziesiąt lat i czekał na operację serca, która miała się odbyć pod koniec tygodnia pod kierunkiem Joshui Kapinsky'ego. Od pewnego czasu mężczyzna miewał ataki duszności i bóle zamostkowe z powodu częściowej niedrożności tętnic wieńcowych.

Gdyby doszło do planowanego zabiegu, zastępcza tętnica ukrwiłaby mięsień sercowy i bóle by ustąpiły. Niestety, wyglądało na to, że choroba wygrała z chirurgami walkę z czasem.

Laurei miała sporo okazji, żeby poznać pana Foleya. Spotykała go w przychodni przyszpitalnej, w gabinecie doktora Kapinsky'ego, i dużo z nim rozmawiała w czasie postępowania przedoperacyjnego.

Na piątym piętrze bloku Edith Cavell, biegnąc prawie do pokoju pięćset dwadzieścia dziewięć, zobaczyła doktora Clauda Moreau w towarzystwie dwóch stażystów - jednego z interny, drugiego z anestezjologii - zmierzających w tym samym kierunku z przeciwnej strony. Na miejscu powinien być już zespół anestezjologów oraz dwaj technicy z serwisu sprzętu reanimacyjnego. Kiedy usłyszała otwierające się tuż za jej plecami drzwi windy, była pewna, że wysiadł z niej Jarrad Lucas. Nie odwróciła głowy.

W pokoju pięćset dwadzieścia dziewięć, minio pośpiechu i wiszącego w powietrzu napięcia, trwała pedantycznie zorganizowana akcja reanimacyjna. Nad pacjentem pochylały się dwie pielęgniarki. Jedna wykonywała zewnętrzny masaż serca, druga przygotowywała aparaturę do kontrolowanego oddechu.

Zerknąwszy na poszarzałą twarz pana Foleya, Laurel stanęła natychmiast u wezłowania jego łóżka. Chciała zaintubować chorego, zanim pojawi się Jarrad Lucas z tym swoim wymownym spojrzeniem, od którego ciarki przechodziły po plecach.

Dała znak pielęgniarce, żeby przytrzymała głowę pacjenta. Włożyła do jego ust laryngoskop i nacisnęła odpowiednio zuchwę, żeby obejrzeć krtań. Pielęgniarka wręczyła jej bez słowa rurkę intubacyjną. Liczyła się każda sekunda. Kilkuminutowe niedotlenienie mózgu oznacza jego nieodwracalne uszkodzenie.

Kiedy Laurel wyprostowała się, do pokoju weszli jednocześnie doktor Claud Moreau, stażyści oraz Jarrad Lucas, który, tak jak się spodziewała, w mgnieniu oka ocenił, co - i jak - zdążyła przed nim zrobić. Patrzyli na siebie przez ułamek sekundy, zanim pielęgniarka uruchomiła podręczny respirator.

Serce pacjenta nie podejmowało pracy. Wydawało się, że wszyscy jednocześnie wstrzymali oddech.

- Wszystko sprawdziłaś? - zapytał opanowanym głosem doktor Lucas.

Laurel wzdrygnęła się lekko, zanim odwróciła ku niemu głowę. W jego chłodnych, przenikliwych oczach było coś takiego, co wciąż zbijało ją z tropu. Chociaż pracowali ze sobą na tyle długo, że powinna była się już dawno oswoić i z jego spojrzeniem, i ze sposobem bycia, napięcie między nimi wciąż rosło.

- Tak - odpowiedziała ostrożnie, sprawdzając przepływ tlenu.

Kiedy stażysta z interny przejął od zmęczonej pielęgniarki masaż serca, doktor Lucas przygotował zastrzyk do-sercowy, a doktor Moreau umieścił na piersi pacjenta elektrody defibrylatora, który miał przywrócić prawidłową czynność serca.

- Xylokaina gotowa? - padło czyjeś pytanie w chwili, kiedy do pokoju weszli anestezjologdy.

- Laurel, nie wychodź jeszcze. Chciałbym z tobą porozmawiać - usłyszała chłodne polecenie doktora Lucasa, kiedy jedną nogą była już na korytarzu. - Poczekaj na mnie.

Wyszedł po chwili. Zanim ruszyli w kierunku windy, oboje ubrani w identyczne, zielone stroje i białe, laboratoryjne fartuchy, Jarrad odebrał jej bez słowa walizkę.

Wzruszyła lekko ramionami. W jego uprzejmym geście dostrzegła pewną ironię, zacisnęła więc zęby, żeby oszczędzić mu złośliwości, którą miała na końcu języka. Wiedziała przecież, że to nie koniec znajomości. Niedługo znowu przyjdzie im ze sobą pracować - aczkolwiek w zupełnie innych warunkach.

- Niestety, operacja pana Foleya wypadła z planu - mruknął posepnie.

- Tak... - odparła po chwili, starając się, żeby jej głos zabrzmiał naturalnie. - Najważniejsze, że żyje.

Reanimacja się udała. Teraz pacjentem zajmie się zespół kardiologów i kardiochirurgów, do którego Laurel już nie należała. Poziom adrenaliny w jej krwi zaczął opadać i poczuła się skrajnie wyczerpana.

- A może zdecydują się na ten bypas jeszcze dzisiaj wieczorem? Oczywiście po badaniu angiograficznym, jeśli stan pacjenta będzie wyrównany. Jak sądzisz? - zapytał Jarrad.

- Nie sądzę, żeby interesowała cię moja opinia - odparowała bez zastanowienia, chociaż obiecywała sobie wcześniej, że nie da się w żaden sposób wyprowadzić z równowagi.

Jarrad uśmiechnął się, jakby na wspomnienie jakiegoś złośliwego dowcipu na jej temat.

- Tam, dokąd się wybieramy, będziemy zmuszeni wymieniać fachowe opinie. Zgodzisz się chyba ze mną?

- I mam nadzieję, że do tego się ograniczysz - odpowiedziała cicho, widząc zbliżających się do nich dwóch innych lekarzy.

- Nie żal ci stąd wyjeżdżać? - zapytał uprzejmie. - Ani trochę?

- Coż... Zawsze jest coś, czego się trochę żałuje - odpowiedziała ostrożnie, zastanawiając się, czy on zdaje sobie sprawę, jak bardzo chciała

uciec z tego szpitala. - Ale przemyślałam swoją decyzję. O czym chciałeś ze mną rozmawiać? Na pewno nie o panu Foleyu.

Jarred Lucas nie miał zwyczaju zasięgać u Laurel fachowych rad. Od początku z nią rywalizował, na co starała się nie zwracać uwagi, mimo że pracowali w jednym zespole od ponad pół roku. Na szczęście oboje ograniczali wzajemne kontakty do spraw zawodowych.

- Nie... - przyznał ze swoim charakterystycznym półuśmiechem, który, jak zauważyła, niemal całemu żeńskiemu personelowi szpitala wydawał się zniewalająco atrakcyjny.

Odrzuciła wzrok, speszona odkryciem, że mimo niepokoju o pana Foleya, nie potrafi patrzeć obojętnie na Jarrada

Lucasa. Tak, jej też się podobał, ale za nic nie chciała ulec temu wrażeniu. Nie miała ochoty na żadne komplikacje, nawet gdyby to zainteresowanie było wzajemne - w co szczerze wątpiła.

Jarrad nigdy nie dał Laurel wprost do zrozumienia, że widzi w niej nie tylko chirurga, ale i atrakcyjną kobietę, chociaż... przepływały między nimi dziwne wibracje, których nie dałoby się wytłumaczyć animozjami na tle zawodowym. Skądinąd były one faktem. Doktor Joshua Kapinsky powierzył Laurel stanowisko, na którym bardzo zależało Lucasowi. O jego życiu prywatnym wiedziała tylko tyle, że nie jest żonaty. Swoją drogą, po tragedii z Maxem postanowiła trzymać w ryzach swoje uczucia.

Doktor Lucas ujął Laurel za łokieć i wprowadził do windy, jak gdyby czytał w jej myślach i obawiał się, że mu ucieknie.

- Chodźmy do bufetu - zaproponował. - Napijemy się kawy.

- No, no! Robi się coraz bardziej tajemniczo - zadrwiła, uwalniając gwałtownym gestem rękę. - Po raz pierwszy zapraszasz mnie na kawę.

- Tak się składa, że oboje wyjeżdżamy do północnej Kanady, w to samo miejsce, może więc powinniśmy odbyć wstępną pogawędkę? - Jarrad zamienił propozycję na pytanie.

- Powinniśmy? - Uniosła brwi i utkwiała w jego oczach ironiczne spojrzenie.

Będąc jedyną kobietą na oddziale chirurgicznym, Laurel nauczyła się ostrożności w odgadywaniu motywów postępowania kolegów. Jeśli komuś naprawdę zależało na uprawianiu chirurgii, uważanej za najbardziej „męską” i wyczerpującą specjalizację medyczną, musiał pogodzić się z faktem, że ostra rywalizacja była w tej pracy chlebem powszednim.

- Tak myślę - odparł.

- Co za zbieg okoliczności - powiedziała chłodno, nie wierząc ani trochę w jego przyjazne intencje. - To, że jedziemy na północ, oboje do Chalmers

Bay, i to w tym samym czasie... Może zresztą nie ma w tym nic dziwnego. Północna Korporacja Opieki Zdrowotnej prowadzi w naszym szpitalu intensywny nabór personelu i niewykluczone, że specjalnie wysyłają nas razem. Żebyśmy łatwiej się zaaklimatyzowali, od początku stanowili zgrany zespół... Na takim pustkowiu to bardzo ważne.

Mówiła potoczyście, nie próbując ukrywać sarkazmu. W rzeczywistości sama nie wiedziała, co sądzić o tym zbiegu okoliczności i zupełnie sobie nie wyobrażała, jak będzie wyglądała ich bliska zawodowa współpraca. Czy okaże się jeszcze bliższa niż w Gresham... i jeszcze trudniej będzie ją znieść?

- A może ja po prostu nie umiem się zdobyć na to, żeby powiedzieć ci: „żegnaj na zawsze, doktor Hartę”?

Znów się uśmiechał. Był to uśmiech cyniczny, a jednak w interesujący sposób łądził ostre rysy jego twarzy.

- To by dopiero było święto! - odparła natychmiast. Bufet był olbrzymi - codziennie jadło w nim kilkaset

osób personelu szpitalnego, od ordynatorów po salowe i sprzątaczkę. Laurel nałapała sobie herbaty, zapłaciła i wybrała stolik tuż przy wyjściu, osłonięty wysokimi roślinami w doniczkach. Czują przez skórę, że Lucas zaprosił ją na rozmowę, która miała być czymś więcej niż zdawkowym pożegnaniem.

Przysiadł się do niej i wypił pół kubka kawy, nie odezwał się ani słowem. Laurel, sącząc z przyjemnością herbatę, zaczęła planować, czym się zajmie po powrocie do swojego małego, przytulnego mieszkania.

- Co za pech - powiedziała nagle, wracając myślami do terażniejszości. - Mam okropne uczucie z powodu pana Foleya. Nie powinnam zostawiać go w takim stanie. Przyzwyczaił się do mnie... Ale co mogę zrobić; klamka już zapadła.

Milczenie Jarrada zaczęło doprowadzać ją do pasji. Wpatrywał się w nią tak intensywnym wzrokiem, jak gdyby oglądał przez szkło powiększające jakiegoś owada.

- Hm... - mruknął wreszcie. - Możemy być w kontakcie. Zajrzę do niego później. Jest w dobrych rękach.

Od planowanej podróży na Arktykę dzieliły ją dwa tygodnie. Miała tam pracować cztery miesiące - razem z Lucasem. A co potem, nie była jeszcze pewna. Zastanawiała się nad różnymi możliwościami.

- Co masz zamiar zrobić po Chalmers Bay? - zapytał w końcu, jakby czytając w jej myślach.

- No więc... wystąpiłam o pewien kontrakt, który dojdzie chyba do skutku.

- Gdzie? - spytał obcesowo.

- W małym prowincjonalnym szpitalu, niedaleko Gresham - odparła z wahaniem, nie mając najmniejszej ochoty zwierzać mu się ze swoich prywatnych spraw, w każdym razie nie w większym stopniu niż to konieczne. - Mam nadzieję, że uda mi się zatrzymać tutejsze mieszkanie.

Joshua będzie chciał się z nią ożenić, o tym jednak na pewno nie powie Lucasowi.

- Ale chyba nie zaprosiłeś mnie tutaj na pogawędkę o mojej przyszłości.

- Nie. - Z kieszeni fartucha wyjął jakiś list i wręczył jej z obojętną miną. - Przeczytaj to.

List pochodził z Północnej Korporacji Opieki Zdrowotnej, która miała siedzibę w Toronto i rekrutowała lekarzy na krótkie kontrakty - od kilku tygodni do kilku miesięcy - do pracy w stacjach medycznych znajdujących się w kanadyjskiej strefie arktycznej. Jedną z takich stacji działała w Chalmers Bay - odległym zakątku Terytoriów Północno-Zachodnich, nad Oceanem Arktycznym.

Właśnie tam Laurel postanowiła spędzić cztery miesiące, a dopiero potem zdecydować się na coś w rodzaju stabilizacji życiowej. Wysyłając swoją ofertę nie miała pojęcia, że Jarrad Lucas wpadł na identyczny pomysł.

- Po co mi to pokazujesz? - spytała podejrzliwie, oddając mu kartkę.

Wzbierała w niej piekająca złość. Wyglądało na to, że nawet tam, na dalekiej północy, nie uwolni się od tego koszmaru - seksistowskiej polityki kadrowej, która obowiązywała na oddziale chirurgicznym Szpitala Uniwersyteckiego. Oczywiście, z różnym natężeniem objawów - od subtelnych po otwarcie agresywne.

- Po to, żeby... tym razem... nie było między nami zawodowych nieporozumień, najmniejszych wątpliwości, co do kogo należy. Żadnej niezdrowej konkurencji.

Z listu adresowanego do Lucasa wynikało jasno, że to on będzie głównym lekarzem stacji, a ona jego asystentką. Nic dziwnego - był od niej o kilka lat starszy, miał dłuższy staż. W Gresham także, pomyślała niechętnie, należała mu się przewaga w zawodowej hierarchii.

- Chciałbym ci też przypomnieć - ciągnął, nie odrywając od niej świdrujących oczu - że tam, na północy, nie będzie dobrego tatusia; żaden Joshua Kapinsky nie przybiegnie ci na pomoc, nie obroni przed wielkim obcym światem, nie da ci forów.

Laurel dość długo była jedyną kobietą w zespole kardiochirurgicznym, która nie zdawała sobie sprawy z wyjątkowej słabości doktora Kapinsky'ego do kobiet. Atrakcyjne pielęgniarki i lekarki wpadały w jego sidła jedna po drugiej, a pan doktor miał tylko jedną żelazną zasadę: nie dać się usidlić...

Pielęgniarki tolerowały go z rozbawieniem, przede wszystkim dlatego, że był wspaniałym chirurgiem, z którym dobrze im się pracowało, czego, niestety, nie mogły powiedzieć o wielu innych. Laurel poczuła, że robi jej się gorąco.

- Wiesz, o czym mówię, prawda? W końcu jesteś jego... dziewczyną. Czy wolisz słowo „kochanka”? - dodał prowokująco.

- Jak śmiesz być taki... taki chamski? - Wstałaby natychmiast, gdyby umiała się opanować i zrobić dobre wyjście z dwiema ciężkimi torbami.

Bezinteresowna, nieuzasadniona wrogość zawsze ją zaskakiwała. Lucas nigdy dotąd nie rozmawiał z nią w ten sposób. Zrozumiała, że jej kolega daje upust tłumionej goryczy, narastającej w nim od pół roku.

- Jeżeli wściekasz się o to, że ja zostałam asystentką doktora Kapinsky'ego, a nie ty, to wbij sobie raz na zawsze do głowy, że nie poczuwam się do żadnej winy z tego powodu. On jest szefem kardiochirurgii - mówiła przez zaciśnięte zęby - i pewnie wiedział, co robi!

- Sama kiedyś przyznałaś, że nie masz zamiaru poświęcić się na stałe kardiochirurgii, że wolałabyś zostać chirurgiem ogólnym w jakimś małym szpitalu na prowincji. A dla mnie to była sprawa zaliczenia kolejnego szczebla specjalizacji. Ogromna szansa.

Napięcie między nimi rosło w niebezpiecznym tempie.

Laurel oddychała z coraz większym trudem. Kiedy doktor Kapinsky przyjmował ją na swój oddział jako główną asystentkę, słyszała o jego słabostkach, o faworyzowaniu ładnych buzi, ale nie do końca w to wierzyła i wyrzuciła tę niewygodną informację ze świadomości. Miała wtedy wiele ważniejszych problemów, które pochłaniały jej uwagę.

Dopiero później, kiedy Joshua odkrył karty, Laurel musiała przyznać w duszy, że w rywalizacji z Lucasem o tę samą posadę fakt, że była młodą, atrakcyjną kobietą - obiektem pożądania przyszłego szefa - mógł przechylić szalę na jej korzyść. Ta myśl ukłuła ją teraz boleśnie.

- Wybór między nami był trudny, dobrze o tym wiesz!

- Różnie można na to patrzeć i różne były opinie - powiedział oschłym głosem. - Nie można wykluczyć, że szef brał pod uwagę inne kryteria.

- Sprawdziłam się równie dobrze jak ty! - zawołała.

- Być może. Pokazuję ci ten list po to, żebyś widziała czarno na białym, jak stoją sprawy. Żeby nie było między nami nieporozumień. Na północy

będziemy pracowali w zgranym zespole - bez nonsensownego podkreślania, kto jest starszym chirurgiem, kto młodszym. Chciałem, żebyś nie miała złudzeń. To wszystko.

- Uświadamianie mnie, pozbawianie złudzeń sprawia ci wyraźną frajdę.

Jakby na potwierdzenie jej słów roześmiał się, opadając plecami na oparcie krzesła, które na tle jego potężnej postury wydawało się śmiesznie małe.

Laurel mimowolnie przebiegła oczami po jego silnej sylwetce, ale natychmiast opuściła oczy. Była zła jeszcze bardziej na siebie niż na niego.

- Tym razem, jestem o tym przekonany, rozpoczniemy współpracę na zdrowych zasadach. Żadnej rywalizacji, żadnych wyścigów, i żadnego sprośnego Joshua, który mąciłby atmosferę. - Oparł nagle łokcie na stole, pochylił się ku niej i zapytał teatralnym szeptem: - Czy byłaś... czy jesteś... jego kochanką, Laurel?

Przez kilka sekund myślała tylko o tym, że jego usta, ładnie zarysowane i zacięte, nie przypominały w niczym pełnych, wilgotnych warg Joshui Kapinsky'ego.

- Możesz oczywiście powiedzieć, że to nie mój zaki-chany interes, ale bardzo chciałbym znać prawdę - szepnął łagodnie. - Widzisz, strasznie mnie to intryguje... Jak taka młoda, piękna kobieta może spać z dużo starszym mężczyzną? Dla korzyści finansowych czy towarzyskich? A może zawodowych?

- Milcz! - warknęła, przysuwając się do niego bliżej z obawy, że ktoś znajomy mógłby ich podsłuchać. Było jasne, że etap pojedynku w białych rękawiczkach mieli za sobą. - Jesteś bezczelny! I tylko w jednej sprawie masz rację: to nie twój interes! Ale zaspokoję twoją ciekawość. Nie! Nie jestem jego kochanką, i nigdy nie byłam. Zasłużyłam na tę pracę bez względu na to, czy naszym szefem kierowały jakieś dodatkowe pobudki. Nie wiedziałam, nie miałam pojęcia, że on jest... taki.

- Nie? Ale protestujesz cienkim głosem.

- Doprawdy? - spytała, parodiując jego sarkastyczny ton. - A ty się zachowujesz jak dziecko, któremu odebrano cukierek. Pozwolisz, że zakończymy tę rozmowę. W tej chwili. Wiem, że mnie nie znosisz, ale wierz mi na słowo: z wzajemnością!

Kilka osób wychodzących z bufetu spojrzało na nich z wyraźnym zaciekawieniem.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś aż tak naiwna? Nie słyszałaś o wyczynach Joshui? - spytał z osłupieniem w głosie, nie poruszony wcale jej deklaracją

wrogości. - Josh Kapinsky zarabia na swoją opinię libertyna od czasów studenckich. Czyli będzie tego... ze trzydzieści lat.

- Nie słyszałam. I co z tego? - odparła ze ściśniętym gardłem, przygnębiona nagle wspomnieniem, które nie miało nic wspólnego z Joshuą Kapinsky. Oczami wyobraźni ujrzała Maxa, swojego młodego, nieżyjącego już męża. Tak, wciąż jest naiwna, a w tamtych studenckich czasach była po prostu niewinna.

A więc to tak... Pogrążyła się w pracy, żeby uciec od wspomnień, zabić w sobie poczucie winy, które gnębiło ją po śmierci Maxa, a przy okazji pozwoliła sobie nie zauważyć tego, o czym wiedział cały szpital, że znany i ceniony kardiochirurg - jej mistrz - nie zainteresował się jej skromną osobą z czysto zawodowych względów.

- Trudno w to uwierzyć. - Słowa Jarrada wyrwały ją z zamyślenia. - Że nie wiedziałaś. Jesteś bardzo atrakcyjna... W tym szpitalu nie znałem dotąd pięknej kobiety, która by nie wiedziała.

- To może twoje doświadczenia z kobietami są zbyt skromne - powiedziała z furją. - A poza tym wierz sobie, do diabła, w co chcesz! Ja nie muszę się przed tobą usprawiedliwiać ani spowiadać. Z doktorem Kapinsky nie łączy mnie nic poza pracą.

- Tak, słyszałem, że zachowuje się bardzo dyskretnie. - Jarrad zniżył głos do szeptu. - W głowie mi się nie mieści, żeby mógł z ciebie tak po prostu zrezygnować. Nawet ja muszę przyznać, że jesteś świetna. Ale nie próbuj tego wykorzystywać, kiedy znajdziemy się na północy - ani ze mną, ani z nikim innym. Tam ci ten numer nie przejdzie.

- Ty bezczelny, zarozumiały...

- Łajdaku. Myślę, że tego słowa szukałaś. - Skrzywił się ironicznie. - Czekałem sześć miesięcy na chwilę, kiedy wygarniemy sobie wszystko bez ogródek. Poczekaj! Zanim wstaniesz, żeby unieść się słusznym gniewem, powiem ci, jak ja się czułem, zmuszony do grania drugich skrzypiec w partii, która była przeznaczona dla mnie.

- Nie wysilaj się. Trudno było tego nie zauważyć. Wiedziałaś o tym i ja, i reszta oddziału.

- W porządku. Czuję się rozgoryczony - i wcale tego nie ukrywam. Jesteś dobrym chirurgiem, dobrym lekarzem, ale nie należałaś do naszej ligi. Zostałaś na kardiochirurgii wyłącznie dzięki osobistym układom z Joshem. Kiedy znajdziemy się na północy, tylko ja i ty, daleko od tego miejsca, nie będzie mowy o żadnych towarzyskich grach, wierz mi!

Laurel chciała uderzyć go w twarz, ale poczuła lzy pod powiekami i przez chwilę myślała tylko o tym, żeby je powstrzymać. Żadna cięta riposta

nie przychodziła jej do głowy. Może sama sobie jest winna? Gdyby jej koledzy wiedzieli o Maksie, stałoby się dla nich oczywiste, że nie nadaje się na potencjalną kochankę szefa. Z drugiej strony, po co się tak gorliwie broni? Dlaczego daje do zrozumienia Jarradowi, że Joshua nie pociąga jej jako mężczyzna? Przecież jednak pozwoliła mu się pocałować, dotykał jej...

- Czarujące - mruknął Jarrad, kiedy patrzyła na niego oniemiała, straciwszy już nadzieję, że nie zauważy wilgoci w jej zdumionych, szeroko otwartych oczach. - Nareszcie wiadomo, na czym stoimy. Dobrze i to.

- Nienawidzę cię - szepnęła mimowolnie i w tej samej chwili tego pożałowała.

- To dobry początek!

- Jeżeli na każde niepowodzenie zawodowe będziesz reagował w ten sposób, czeka cię ciężkie życie.

Podniosła się gwałtownie, chwyciła w ręce obie torby i wyszła z bufetu. Przyspieszała coraz bardziej kroku, patrząc prosto przed siebie i połykając łyzy. Wydało jej się, że Jarrad ją zawołał, ale nie zatrzymała się.

Znalazła swój samochód i z ulgą wrzuciła torby na tylne siedzenie. Kiedy usiadła za kierownicą, zamknęła oczy. Nienawidziła kłótni. Wybuchnęła bezgłośnym, nie tłumionym płaczem.

Fakt, że Jarrad Lucas od początku wzbudzał w niej mieszane uczucia, pogarszał tylko sprawę. Wolałaby go szczerze nienawidzić. Jego oskarżycielskie słowa dotknęły ją do żywego. Miesiąc temu, niespodziewanie, Joshua zaproponował jej małżeństwo - przypominając o rzeczywistości, od której po śmierci męża odwróciła się plecami. O tym, że jest młoda, że podoba się mężczyznom i że niektórzy mogą na nią patrzeć jak na potencjalną żonę.

- Ja... ja nie myślałam o powtórnym małżeństwie - wybąkała wtedy zaskoczona, wzdragając się przed pomysłem zamążpójścia, mimo że Joshua nie był nieatrakcyjny.

Tamta rozmowa odbyła się w jego domu, kiedy po raz pierwszy, w czasie weekendu, zaprosił ją na lunch. Jedyne, co wtedy naprawdę czuła, to rodzaj niemiłej konsternacji. Dopiero później, stopniowo, sytuacja zaczęła jej pochlebiać.

- Jak widzisz, jestem bardzo zamożny - oświadczył bez cienia zażenowania, potoczywszy wzrokiem po luksusowym wnętrzu swojego ogromnego domu. - Całkiem niedawno zaczęły atakować moją świadomość... jakby to ująć? Zwiastuny śmiertelności?

Był krępyim mężczyzną średniego wzrostu, upartym, przebojowym, lubiącym dominować w każdej sytuacji, nienawykłym do porażek. Mimo

pospolitych rysów, w jego urodzie było coś zmysłowego. Kiedy stanął przed nią wyprostowany, z dumną, spokojną miną, zrozumiała, że nie należy do ludzi, którzy łatwo rezygnują.

- Osiągnąłem szczyt swojej kariery, punkt, z którego 'nie ma dokąd się wspinać. Odkładałem decyzję o małżeństwie, bo w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach moje życie pochłaniała praca. Nigdy nie miałem żony. Nie wyobrażałem sobie kobiety, która chciałaby znosić taką sytuację. Rozumiesz?

Propozycja była szokująca. Mimo iż zamożność Josha rzuciła się w oczy, wszelkie oznaki luksusu w jego życiu zdradzały pewne poczucie smaku. A to, że - w odróżnieniu od większości swoich kolegów w podobnym wieku, którzy zdążyli być wielokrotnie żonaci - nie miał dotąd żony, wydawało się przemawiać na jego korzyść.

- Mówię ci to teraz, bo postanowiłaś wyjechać - ciągnął Joshua. - Oczywiście chciałbym, żebyś została. Tak, wiem, co o mnie mówią. Nie jestem święty, przyznaję. Nie mam zamiaru niczego udawać. Ale dla ciebie, Laurel, zmieniłbym się. Jesteś absolutnie wyjątkową kobietą.

Gdyby nie była tak zaskoczona, prawdopodobnie jego obcesowa, wręcz obraźliwa w swojej szczerości oferta by ją rozśmieszyła.

- Chciałbym mieć w tobie przyjaciółkę, Laurel, pokrewną duszę... Chciałbym, żebyś była panią tego domu, bawiła się ze mną, korzystała z życia. A ja lubię się bawić, wierz mi. No i, do licha ciężkiego... jasne, że chciałbym cię mieć w łóżku!

- Nie wiem, co powiedzieć - wydusiła z siebie po chwili, paśowa z zażenowania.

Przy całym podziwieniu dla umiejętności zawodowych Joshui Kapinky'ego myśl o dzieleniu z nim łóżka przejęła Laurel zimnym dreszczem.

- Niewiele jest kobiet, które potrafią się tak rumienić - powiedział z uśmiechem, pożerając ją rozpalonym wzrokiem. - Wyobrażasz sobie, jak to na mnie działa?

Pamiętała, jak okropnie się czuła, kiedy objął ją po raz pierwszy. Z przerażeniem i fascynacją zarazem dostrzegła gąszcz siwych, kręconych włosów na jego torsie. Kiedy ją pocałował, zacisnęła mocno powieki, próbując wmówić sobie, że to ktoś inny - gwiazdorz filmowy... ktokolwiek. Bez najmniejszego udziału jej woli ciemna, pociągła twarz Jarrada Lucasa pojawiła się w jej wyobraźni - i była przy niej do końca pocałunku. Joshua miał zachwyconą, wręcz triumfującą minę, ale nie dostał wtedy żadnej odpowiedzi.

Dźwięk zapuszczanego silnika przywołał Laurel do terażniejszości. Zupełnie już opanowana, wysiadła z samochodu. Nie mogła opuścić na zawsze tego szpitala, nie zajrzawszy jeszcze raz do pana Foleya. Bardzo się do niego przywiązała i poznała, a nawet polubiła jego rodzinę.

- Nie jest źle - odpowiedziała pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii, którą zapytała o stan pacjenta. - Zabrali go niedawno na angiogram. Doktor Kapinsky zastanawia się, czy nie zrobić mu bypassu jeszcze dzisiaj wieczorem, ale to zależy od wyników.

Laurel ruszyła bez zastanowienia na oddział radiologii. Potrzeba zobaczenia się z panem Foleyem okazała się silniejsza od obawy, że spotka tam doktora Kapinsky'ego. Nie miała zresztą wątpliwości, że nawet gdyby teraz uciekła, on sam znalazłby sposób na skontaktowanie się z nią przed wyjazdem na północ.

Kiedy zajrzała przez uchylone drzwi do głównego gabinetu radiologicznego, Joshua z dyżurnym radiologiem oglądali zdjęcia umieszczone na podświetlonym ekranie negatoskopu. Laurel sama miała ochotę na nie zerknąć, nie wypadało jej jednak wtrącać swoich trzech groszy, ponieważ oficjalnie, od kilku godzin, nie była już pracownikiem szpitala. Ani jeden, ani drugi lekarz nie zauważył jej.

Nie spodziewała się już natknąć na Jarrada, tym bardziej więc była zaskoczona, zobaczywszy go w gabinecie diagnostycznym przy wózku pana Foleya. Zatrzymała się gwałtownie.

- Proszę wejść, doktor Hartę - powiedział, zanim zdążyła się wycofać. - Nie będę atakował, obiecuję.

Zbliżając się ostrożnie do wózka, Laurel spostrzegła, że dłoń Jarrada przykrywa leżącą bezwładnie na prześcieradle dłoń pana Foleya. Jakkolwiek z mieszanymi uczuciami, pomyślała sobie w duchu, że lekarz, zawsze tak dobrze traktujący pacjentów, nie może być mężczyzną niezdolnym do czułości.

Pan Foley nadal był zaintubowany, chociaż oddychał samodzielnie, a jego twarz odzyskała jako taki kolor. Laurel podeszła do niego z drugiej strony wózka. Dotknęła jego ręki, uszczęśliwiona, że ma prawidłową temperaturę. W tej samej chwili pacjent otworzył oczy i rozpoznał ją.

Uśmiechnęła się i dała mu znak wyprostowanym w górę kciukiem. Widząc, że mężczyzna próbuje rozpaczliwie - mimo rurki intubacyjnej w ustach - odwzajemnić jej uśmiech, odwróciła się w kierunku monitorów, które kontrolowały pracę serca. Niestety, nie mogli teraz porozmawiać, a prawdopodobnie widzieli się po raz ostatni.

- To pani ostatni dzień, doktor Hartę? - spytała cicho pielęgniarka, która wprowadziła ją do sali.

- Tak.

- Doktorowi Kapinsky'emu będzie pani bardzo brakować. Była pani jego prawą ręką. Najważniejszą asystentką.

Jarrad spojrział na Laurel badawczym wzrokiem.

Jeszcze wczoraj podobna uwaga nie zrobiłaby na niej specjalnego wrażenia. Czy to możliwe, zadała sobie dramatyczne pytanie, że wszyscy oprócz niej zdawali sobie doskonale sprawę, jakie - prawdziwe - intencje skłoniły Joshuę Kapinsky'ego do wyboru jej na swoją główną asystentkę? .

Sama myśl o tym była upokarzająca.

Kiedy powieki pana Foleya opadły ze zmęczenia, pożegnała go szeptem i wyszła.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy obudziło ją wycie wiatru za oknem, zastanawiała się przez chwilę, gdzie jest. Bardzo często wracała myślami do Gresham.

Przeciągnęła się z błogim zadowoleniem i dopiero wtedy dotarło do niej, że jest w Chalmers Bay i że ma przed sobą całą wolną sobotę.

Przez zaciągnięte żaluzje do sypialni wpadało nagle światło poranka. Podczas gdy na południu było wczesne lato, tutaj, wysoko ponad kołem polarnym, panowała późna wiosna.

Laurel i Jarrad Lucas pracowali w Chalmers Bay od czterech tygodni. Mieszkali w wolno stojącym pawilonie, który był połączony z głównym budynkiem stacji osłoniętym, zewnętrznym korytarzem.

O dziwo, ich wzajemna niechęć nie wybuchła jeszcze ani razu otwartym konfliktem. Po pracy traktowali się z chłodną uprzejmością, a w czasie dyżurów pochłaniały ich bez reszty sprawy zawodowe.

Poza nimi w stacji medycznej pracowały na stałe tylko dwie osoby - pielęgniarka oraz instrumentariusz - nie było więc ani czasu, ani warunków na to, co Jarrad nazwał w Gresham „niezdrową rywalizacją”. Jego formalna pozycja szefa nie miała, jak dotąd, praktycznego znaczenia.

Kiedy w korytarzu zadzwonił telefon, Laurel poderwała się z łóżka, mimo że dyżur tego dnia miał Jarrad.

- O, cieszę się, że wstałaś. Chcesz kawy? Założę się, że o niczym innym w tej chwili nie marzysz.

Jarrad wynurzył się z kuchni z dzbankiem parującej kawy w tej samej chwili, kiedy Laurel, w ciepłym wełnianym szlafroku i skórzanych kapciach, weszła do ich wspólnego pokoju dziennego.

Z tonu jego głosu oraz taksującego spojrzenia, jakim ją obdarzył, wywnioskowała, że jej poranny wygląd nie wzbudza w nim entuzjazmu. Trudno. Postanowiła przecież, że konieczność dzielenia tymczasowego lokum z Jarradem nie zmusi jej do zmiany stylu życia. Nie będzie rozpoczynała wolnego dnia od czesania włosów i makijażu, jeśli nie ma na to ochoty.

- Z przyjemnością napiję się kawy - odpowiedziała. - Dlaczego się cieszysz, że wstałam? Stało się coś?

Weszła za nim do kuchni.

- Przed sekundą dzwoniła Bonnie Mae. Pewnie słyszałaś. Wylądował tu zaraz jakiś facet, górnik z pobliskiej kopalni złota, z silnymi bólami w podbrzuszu. Wygląda mi to na uwięzniętą przepuklinę; w każdym razie na pewno jest to nieodprowadzalny guz. Podobno domyślał się, że ma

przepuklinę, ale nikomu się do tego nie przyznał, bo do tej pory sam ją potrafił odprowadzić. Możliwe, że jest skrzyżowana i trzeba go będzie od razu wziąć na stół. Krótko mówiąc chciałbym, żebyś mi pomogła zdecydować, czy wysłać faceta najbliższym samolotem do Yellowknife, czy zoperujemy go tutaj.

Kiedy Jarrad, odwrócony do niej plecami, rozlewał do kubków kawę, Laurel zdała sobie sprawę, że nie potrafi oderwać od niego oczu. Nie rozumiała, co ją w nim tak pociąga, przeczuwała jednak wszystkimi zmysłami, że ten mężczyzna może skomplikować jej życie.

- Jak na wolną sobotę, niezły początek - dodał, odwracając się do niej gwałtownie, zanim zdążyła opuścić wzrok.

Nie mógł nie zauważyć jej zakłopotania, tego, że patrzyła na niego jak kobieta na mężczyznę - nie kolegę, lecz obiekt pożądania.

- Właśnie. Przynajmniej można powiedzieć, że dzień jak co dzień - odparła szybko. - No więc... jeżeli trzeba będzie wziąć tego górnik na stół, chcesz, żebym operowała?

- Jeśli wolisz - powiedział ciepło. - W takim razie ja go znieczulę.

- Tak, wolę... Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie mam. - Jarrad zauważył, że jest coraz bardziej spięta. - Laurel, nie musisz się tak zachowywać, jakbyś chodziła po tłuczonym szkle.

- Czyżby? W końcu ty tu jesteś szefem. Wyłożyłeś mi to bardzo dosadnie... żebym nie miała wątpliwości, gdzie jest moje miejsce.

- Daj spokój. Chyba zauważyłaś, że nie mam skłonności do rządzenia. Do tej pory szło nam idealnie, więc spróbujmy tego nie zepsuć, dobrze?

Laurel ominęła go bez słowa i zaczęła wbijać do miski jajka na jajecznicę.

- Ile czasu mamy do ich przylotu? - zapytała.

- Bonnie Mae powiedziała, że co najmniej trzy kwadransy. Przylecą lekkim samolotem, prawdopodobnie ces-sną. Odbierze ich Królewska Konna Policja i przetransportuje do nas własną karetką. Na wypadek, gdybyśmy postanowili nie operować, Bonnie Mae uprzedziła już lotnisko, żeby zarezerwowali miejsce na najbliższy lot do Yellowknife.

Yellowknife, stolica Terytoriów Północnych położona daleko na południe od wybrzeża Oceanu Arktycznego, miało własny szpital, w którym pracowała większość lekarzy obsługujących rozległe, ale rzadko zaludnione tereny północnej Kanady. Niespełna miesiąc temu ona i Jarrad przesiadali się tam na ostatni lot do Chalmers Bay.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio operowałam typową przepuklinę - przyznała. - Mam nadzieję, że to jedna z tych umiejętności, których się nigdy nie zapomina, jak jazda na rowerze albo pływanie.

- Jestem pewien, że sobie poradzisz.

- Jadłeś coś? - Laurel postanowiła nie myśleć na razie o operacji.

- Tak, dzięki. Idę się przebrać, a ty zjedz spokojnie. Kiedy odwrócił się z zamiarem opuszczenia kuchni, odetchnęła z ulgą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego od sa-, mego rana czuła się tak spięta. Być może dlatego, że niezbyt często zdarzało im się spotykać przy śniadaniu. Odwykła od towarzystwa? Bardziej jednak prawdopodobne, że po czterech tygodniach permanentnego dyżuru perspektywa spędzenia kolejnego „dnia wolnego” przy stole operacyjnym wyprowadziła ją z równowagi.

- Aha, byłbym zapomniiał. - Jarrad zatrzymał się w progu. - Odebrałem rano korespondencję z poczty. Listy do ciebie położyłem na stole. Ale, wyobraź sobie, jedna koperta zaadresowana jest do pani Maxowej Freer, mieszkającej w internacie dla personelu stacji medycznej Chalmers Bay. - Jarrad mówił z rosnącym zdumieniem w głosie. - Znałem niejakiego Maxa Freera.... doktora Maxa Freera.

- To na pewno ten sam - powiedziała spokojnie - jeśli poznałeś go w Gresham. Byłam jego żoną.

- Ty?! - Oparł się plecami o ścianę. - Ty... byłaś żoną

Maxa Freera? - Kręcił głową z niedowierzaniem, jak gdyby małżeństwo Laurel z Maxem Freerem wydawało mu się najmniej prawdopodobną rzeczą na świecie.

- Takie to dziwne? Dawalesz mi co prawda do zrozumienia, że nie uważasz mnie za normalną kobietę - taką, która nadawałaby się do małżeństwa, prowadzenia domu, wychowywania dzieci - ale to twoja sprawa.

- A więc byłaś jego żoną? - powtórzył jak automat.

- Tak, byłam. Nie miałam pojęcia, że go znałeś.

- Ja...

Dzwonek telefonu nie pozwolił mu dokończyć zdania.

Kiedy zniknął za drzwiami, Laurel chwyciła listy, talerz z jajecznicą i zamknęła się pospiesznie w sypialni. Ani jej się śniło rozmawiać z Jarradem na temat swego prywatnego życia. Jego niedowierzanie uznała za obraźliwe i głupie.

Dwa listy, z drukowanym adresem nadawcy na kopercie, były od Joshui - czego Jarrad nie mógł nie zauważyć. Może doktor Kapinsky przypomina o swojej ofercie matrymonialnej? Na wszelki wypadek dwa razy...

Uśmiechnęła się gorzko i postanowiła odłożyć lekturę korespondencji prywatnej na później. Miała wielką nadzieję, że Josh wspomniał choć w kilku zdaniach o stanie zdrowia pana Foleya, który po udanej operacji wrócił do domu.

List adresowany na nazwisko Freer okazał się zawiadomieniem bankowym o przyznaniu kredytu hipotecznego na zakup mieszkania. Westchnęła ciężko na myśl o stanie swoich finansów. Tuż przed wyjazdem z Gresham pożyczyła pieniądze siostrze - bezrobotnej aktorce, która była chronicznie uzależniona od jej pomocy.

Małżeństwo z Joshua wydawało się czasami takim prostym wyjściem - kuśilo perspektywą życia w luksusie, bezpieczeństwa finansowego, końca tyłu zmartwień... Wystarczyło powiedzieć „tak”.

Zjadła szybko śniadanie, wzięła prysznic i ubrała się w strój operacyjny, powtarzając sobie w myśli kolejne czynności przy typowej operacji przepukliny.

Jeśli przepuklina brzuszna nie daje się odprowadzić do jamy otrzewnowej, a pętla jelitowa, która zeszała do worka przepuklinowego, okazuje się skręcona, wtedy sprawa się komplikuje. Niedokrwioną część jelita należy wyciąć, żeby nie dopuścić do martwicy.

Gdyby stwierdzili takie niebezpieczeństwo u pacjenta, którego spodziewali się lada moment, musieliby go operować natychmiast.

W Chalmers Bay, ze względu na zbyt skromną ilość personelu medycznego, starano się nie przyjmować pacjentów na dłuższy pobyt. Tutaj zarówno lekarze, jak i pielęgniarki o każdej porze dnia i nocy musieli być gotowi do udzielenia doraźnej pomocy, ratowania ofiar wypadków oraz wszelkich interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia lub zdrowia.

- Laurel, idę już - powiedział Jarrad, zapukawszy przedtem w jej drzwi. - Bonnie Mae chciałaby wiedzieć, jakich nici będziesz potrzebowała. Wezwała Skipa, żeby przygotował się z tobą.

- Dobrze. Będę gotowa za kilka minut. Idź pierwszy.

Kiedy usłyszała dudnienie jego kroków w łączniku prowadzącym do głównego budynku przychodni, zrobiła błyskawiczny, delikatny makijaż, nie zapominając o odrobinie ulubionych perfum, które wtarła w skórę za jednym i drugim uchem.

Spojrzawszy w lustro, pomyślała z satysfakcją, że trudno byłoby jej zarzucić, że z powodu „męskiego” zawodu staje się mniej kobieca. Uśmiechnęła się do własnego odbicia, a potem gwałtownie odwróciła, zapominając o wszystkim, co nie miało związku z operacją przepukliny.

Berny Allett był czterdziestoletnim, dosyć niskim, krępy męczyzną. Narzekał na mdłości i silne bóle brzucha. Królewska Konna Policja odebrała go z samolotu i przywiozła karetką najszybciej, jak tylko mogła. Sala operacyjna była gotowa, podobnie jak Skip - instrumentariusz, a zarazem technik odpowiedzialny za cały sprzęt medyczny. Był on Eskimosem i mieszkał na stałe w Chalmers Bay. Umyty do operacji, czekał na decyzję lekarzy. Bonnie Mae, dyplomowana pielęgniarka, stała tuż obok.

Laurel i Jarrad zbadali pacjenta i potwierdzili wstępną diagnozę personelu medycznego kopalni. Zaczynające się wymioty rokowały nie najlepiej.

- No, to zdaje się mamy niedrożność - mruknął Jarrad, śledząc wzrokiem dłonie Laurel uciskające delikatnie brzuch chorego. Guz w prawej pachwinie był bardzo wyraźny i nieodprowadzalny. Pacjent na każdy dotyk reagował jękiem.

- Tak - zgodziła się smętnie. - Kiedy pan ostatnio jadł, panie Allett?

- Wczoraj rano - odparł z wysiłkiem. - Niedużo.

- Dobrze.

- Nazywamy to „skręconą” przepukliną - odezwał się do pacjenta Jarrad - co oznacza praktycznie niedrożność jelita. Prawdopodobnie trafił pan do nas w porę i nie trzeba będzie niczego usuwać. Ale żeby mieć pewność, musimy to obejrzeć. Konieczna jest operacja.

- Dobrze - zgodził się od razu. - Co ma być, to będzie. Ten ból mnie wykańcza.

Bonnie Mae z pomocą Jarrada przewiozła pacjenta do sali operacyjnej. Na jego korzyść przemawiało to, że - według wszelkiego prawdopodobieństwa - nie powinien stwarzać problemów anestezjologicznych. Nie palił, nie pił, nie miał kłopotów z sercem ani z płucami, nie cierpiał na żadną przewlekłą chorobę.

- Na pewno jesteś zadowolona, że ty operujesz? Jarrad zajrzał do umywalni i stanął za plecami Laurel, która kończyła szorować ręce.

- Tak. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Na pewno zapytam cię o radę... szefie, jeśli tylko będę jej potrzebowała. Zresztą wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Bonnie Mae albo Skip sami zrobili taką operację. Są świetni. Ja w każdym razie nie mam nic przeciwko temu, żebyś podrzucił mi swoje uwagi.

- Tak jest, madame. Zawsze do usług!

- Wypchaj się!

- Uhm... W tych perfumach jest coś narkotyzującego - mruknął z zachwytem, wciągając głęboko powietrze. - Powinnaś używać ich częściej.

Podszedł do niej bliżej, pochylił się i zanim zrozumiała, co chce zrobić, dotknął wargami jej nagiej szyi. Znieruchomiała. Jej ciało przeszył błogi dreszcz, którego Jarrad nie mógł nie zauważyć. Na widok rumieńca oblewającego jej policzki roześmiał się łagodnie.

- Oduczy cię to nabijania się ze mnie - zakpił wesołym głosem - i niepotrzebnego gadulstwa. Bardzo ładnie się zarumieniałaś. Kolejny dowód na to, że jednak jesteś normalnym człowiekiem i... kobietą.

Powiedział to żartem, ale czuła, że tak właśnie myśli.

- Zabawne - odparowała natychmiast - ale Joshua też je lubi. A teraz spadaj! - Odwróciła się i strząsnęła na Jarrada wodę z umytych do operacji rąk. - Znalazł się super-kochanek i znawca kobiet!

- Pozwolisz, że potraktuję to jako wyzwanie - szepnęła z uśmiechem i zniknęła w sali operacyjnej, żeby przygotować znieczulenie.

Laurel westchnęła, zastanawiając się nad nieoczekiwaną ewolucją ich wzajemnych stosunków. Zdawała sobie sprawę, że małżeństwo z Maxem coś w niej zabiło - słodką naiwność, optymistyczną wizję przyszłości. Prawdopodobnie na zawsze. Wiedziała też, że swoim dziwacznym, zalotnym poczuciem humoru Jarrad maskuje brak zaufania do jej umiejętności.

Operacja tymczasem przebiegła gładko.

- Całe szczęście! - Jarrad, stojący u wezglowia stołu operacyjnego, nie ukrywał ulgi, kiedy Laurel odsłoniła pętlę jelita, która okazała się podkręcona i zaciśnięta, ale wciąż do uratowania. Po uwolnieniu jej z ucisku widać było wyraźnie, jak wraca prawidłowe ukrwienie.

- No właśnie - przytaknęła Laurel. - Jakoś nie miałam dzisiaj szczególnego nastroju na resekcję.

Mimo że wszystko poszło dobrze, przez kilka następnych dni musieli pacjenta obserwować, żeby mieć stuprocentową pewność, że jego jelita funkcjonują prawidłowo.

- Do pracy w kopalni będzie mógł wrócić najwcześniej za kilka tygodni - myślał głośno Jarrad. - I to w miarę lekkiej. - Bonnie Mae - zwrócił się do pielęgniarki - chyba polecisz z nim i jego żoną do Yellowknife. Nie możemy ryzykować i wysyłać go w tak długą podróż bez opieki.

- Nie ma sprawy, doktorze. Przy okazji zafunduję sobie frajdę i wypuszczę się na wielkie zakupy.

Pacjent odzyskał przytomność w małej sali pooperacyjnej. Bonnie Mae uruchomiła monitory kontrolujące pracę serca, oddech, ciśnienie krwi i temperaturę ciała.

- Będziemy dyżurować na zmianę - oświadczył Jarrad.

- Ja robiłem znieczulenie, więc wolałbym zostać przy nim teraz, na kilka pierwszych godzin. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Laurel. A ty, Bonnie? Odpowiada ci popołudniowa szychta?

- Oczywiście, doktorze. Pani może wziąć pierwszą część nocy - zwróciła się do Laurel. - Potem ściągnę do pomocy Nunę. Przyjedzie z miasteczka o świcie; wtedy wszyscy będziemy mieli szansę złapać trochę snu.

- Świetnie - powiedziała Laurel. - Jarrad, przyjdę cię zmienić za kilka godzin.

- Wystarczy, że mnie zwolnisz na lunch. W końcu to jest twój wolny dzień.

- Dobrze. Zamówię ci coś w kuchni.

Laurel napisała jeszcze protokół operacyjny i, śmiertelnie głodna, poszła zrobić sobie coś do jedzenia.

Oprócz własnej kuchni w pawilonie mieszkalnym mieli kuchnię centralną stacji medycznej. Zatrudniony na stałe kucharz, Joe Fletcher, przyrządzał i dostarczał posiłki na zamówienie nie tylko im, ale także policjantom z Królewskiej Konnej oraz pracownikom innych placówek państwowych mających agendy w Chalmers Bay. Podobnie więc jak personel medyczny, o spokojnej pracy i wolnych dniach Joe mógł tylko marzyć.

- Zrobi się! - odpowiedział, kiedy Laurel zadzwoniła, żeby zamówić późny lunch dla Jarrada. - Firma poleca dzisiaj mięso karibu i mrożone smocze główki.

- Smocze główki?!

- Tak jest. Skręcone końce młodych odrostów paproci

- zupełnie jadalne.

- Nie wierzę ci! - Roześmiała się w głos.

- Cierpliwości, pani doktor, przekona się pani na własne oczy.

Kiedy Jarrad wrócił do pawilonu, Laurel, po krótkiej odprężającej drzemce, czytała prywatną korespondencję. Joshua napisał dwa dowcipne listy, w których raczył ją anegdotami z życia wspólnych znajomych. Musiała przyznać w duszy, że nie podejrzewała go o taką intuicję i spostrzegawczość. Uświadomiła sobie również, że jego zabiegi o nią - choćby te ciepłe, zabawne listy - pochlebiali jej w pewien sposób. W każdym razie na pewno nie były obojętne.

Nim Jarrad pojawił się w drzwiach wspólnego pokoju, nie po raz pierwszy pomyślała o tym, jak łatwo byłoby się zgodzić na propozycję Joshui. Dać mu to, czego pragnął.

Ale ja go nie kocham... nie pociąga mnie, protestował cichy, uporczywy głos, dobiegający z głębszej warstwy jej świadomości.

- O, cześć! - zawołała wesoło. - Miałam właśnie wychodzić, żeby cię zwolnić.

- Nie ma potrzeby - odparł szorstko, zauważywszy jej uśmiechniętą twarz pochyloną nad listem. - Bonnie Mae jest w pooperacyjnej i wyrzuciła mnie na lunch. Zresztą nic się nie dzieje. Wszystko gra.

- To dobrze. Ale i tak wolałabym stąd zniknąć, zanim zobaczysz swój lunch: mięso karibu i smocze główki.

- Co takiego? - spytał z wesołym błyskiem w oczach, jak gdyby nagle odzyskał humor.

- Powtarzam ci słowa Joe'ego. - Uśmiechnęła się, siadając z powrotem na krześle. - Ale nie przejmuj się drobiazgami!

- Mam nadzieję, że to eufemistyczna nazwa steku z frytkami - powiedział zmęczonym głosem. - Czytasz Ust od starego Joshui? U niego pewnie wszystko po staremu: operuje, ratuje ludziom życie, rozbija się cadillakiem i kolekcjonuje kobiety. Zgadza się? Píše coś ciekawego? Jakieś plotki? Nie chodzi mi, oczywiście, o wasze prywatne sprawy.

- Cóż... - Laurel wahała się, porażona jego sarkazmem, ale tylko przez moment. - Chce się ze mną ożenić.

Jarrad podniósł powoli głowę i przez długą chwilę, nie odzywając się, hipnotyzował ją wzrokiem.

- Jasne, chce jak diabli! - powiedział wreszcie, wykrzywiając usta w cynicznym uśmiechu. - A co ty na to?

- Nie zdecydowałam się jeszcze.

- Nie? Chyba pójdziesz na ten układ. Nie musiałybyś operować uwięzionych przepuklin w takich miejscach jak Chalmers Bay.

- Możliwe, że pójde na ten układ - cedziła słowo po słowie - ale pomyślałam sobie właśnie, że, jak przystało na osobę wyrachowaną, powinnam go potrzymać w niepewności, żeby trochę poczekał i skruszał. - Wstała, nie odrywając od niego wzroku. - Czy to pasuje panu do obrazka, doktorze Lucas?

- Tak... Zaczyna mi się wszystko układać w jakąś całość. Laurel obawiała się, że nie pociągnie tej nonszalanckiej gry zbyt długo, ale z opresji wybawił ją Joe Fletcher.

- Witam! - powiedział, posyłając jej porozumiewawcze spojrzenie. - Oto pana lunch, doktorze Lucas. Stek z frytkami. Wszyscy mężczyźni to lubią. Kobiety wolą makaron po włosku i sałatę, prawda?

- Masz rację, Joe - Uśmiechnęła się promiennie.

- Wspaniale, Joe. - Jarrad odebrał od niego tacę. - Bardzo dziękuję.

Zadziwiające, że potrafi być taki uprzejmy, pomyślała Laurel, zbierając ze stołu listy. Postanowiła natychmiast zajrzeć do Bonnie Mae i zaproponować jej zmianę.

Pół roku pracy z kardiochirurgami zahartowało ją psychicznie, ale okazało się, że nie jest aż tak odporna, jak myślała. Teraz chciała po prostu uciec.

- Poczekaj - poprosił Jarrad stanowczym głosem. - Powiedziałaś rano, że byłaś żoną Maxa Freera.

- Tak.

- To dziwne, bo... myślałem, że ożenił się z kimś innym. Może nie mówimy o tym samym Maxie Freerze, chociaż to mało prawdopodobne.

- O co ci chodzi? - spytała lodowatym głosem, spodziewając się, że usłyszy coś bolesnego. Przez długą, martwą chwilę czuła się jak zawieszona w czasie.

- Byłem na jakiejś konferencji medycznej w Stanach, w Cleveland, jakieś dwa i pół roku temu. - Mówił wolno, nie odrywając oczu od jej twarzy. - Max też tam był... z kobietą, którą przedstawił jako swoją żonę. To na pewno nie byłaś ty.

Zwilżyła językiem wargi, umykając jego świdrującemu spojrzeniu.

- Nie - odparła w końcu. - Pamiętam to sympozjum. Nie mogłam z nim pojechać. Pewnie mnie nawet o to nie prosił. Jak miała na imię tamta kobieta?

Robiło jej się zimno i gorąco na przemian, a potem poczuła w ustach nieprzyjemną słodycz. Jakie to ma teraz znaczenie, pytała samej siebie. Wtedy nie kochała już Maxa, wszystko między nimi się rozsypało, chociaż z punktu widzenia prawa wciąż byli małżeństwem. Pamiętała, jak olśniewającym wydało jej się odkrycie, że koniec miłości może być początkiem wolnego życia, nawet jeśli nadal cierpimy, nie potrafiąc odżalować straty.

- Przedstawił mi Renatę.

- Rozumiem - odpowiedziała beznamiętnie. - Była taka asystentka naukowa. Pracowali razem nad tym samym programem...

Załamał jej się głos. Wiedziała, że Max miał inne kobiety. Było to prawie nieuniknione, zważywszy, jak wiele czasu - z konieczności - spędzali w

rozłące. Dlaczego więc wiadomość o tej jednej więcej dotknęła ją tak boleśnie?

- Max oczekiwał ode mnie pełnego zrozumienia, kiedy musiał pracować albo studiować i nie mógł być ze mną. Ode mnie jednak wymagał, żebym była na każde jego skinienie, zawsze, kiedy mnie potrzebował.

Zamilkła speszona. Narzekanie na los nie leżało w jej naturze. W gruncie rzeczy sama czuła się odpowiedzialna za sytuację, w jakiej się wtedy znalazła i nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby zanudzać Jarrada własnymi kłopotami.

Kiedy poczuła na dłoni jego ciepłe palce, przeszłość zniknęła jak we mgłę. Było tylko tu i teraz.

- Laurel... Nie miałem pojęcia, że jesteś jego żoną, bladego pojęcia. Słyszałem tylko, że byłaś kiedyś mężatką. Pewnie założyłem, że się rozwiodłaś. Może nie powinienem był ci mówić o tej kobiecie. Może wcale nie chciałaś wiedzieć...

Wyrwała rękę, zaniepokojona wibracją w jego głosie.

- To bez znaczenia. Nie, tak naprawdę, to wyrzuciłeś mi przysługę. Po jego wypadku samochodowym wciąż się obwiniałam o to, że nie byłam dla niego dobrą żoną, że go nie kochałam. Mniej więcej w ostatnim roku naszego małżeństwa przestałam go nawet lubić. Teraz już nie powinnam czuć się winna, prawda? - spytała z wyzywającą miną. - Skoro miał Renatę...

- Być może.

- Teraz to i tak już przeszłość... Chcę z nią zerwać na zawsze.

- Ale do tej pory nie zerwałaś? Nie udało ci się? Kiedy dokładnie zdarzył się ten wypadek?

- Ponad dwa lata temu - odpowiedziała drżącym głosem.

- Ale na miłość boską, Laurel, dlaczego nikt w szpitalu nie wiedział o tobie i Maksie? To by wiele wyjaśniło. Po co ta dziwna tajemniczość?

- Spędziliśmy z sobą tak mało czasu. Nie chciałam, żeby ktokolwiek mi współczuł albo zadawał osobiste pytania. Dlatego używam panieńskiego nazwiska.

- Laurel, biedne dziecko... - Wyszepiał te słowa prawie niedosłyszalnie.

- Tylko się nade mną nie lituj - syknęła i cofnęła się gwałtownie, ale Jarrad chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

Zobaczyła w jego oczach ogień, zuchwałę, nie tajone pożądanie, czułość... i wtedy jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

- Nie lituję się nad tobą. - Objął dłońmi jej twarz, a potem musnął palcem rozchylone wargi. - Chcesz jeszcze o tym porozmawiać? Mogłoby ci ulżyć. Opowiedz mi, jak się spotkaliście.

- Poznaliśmy się na medycynie. Był dwa lata starszy i... wtedy to miało ogromne znaczenie, bo uczestniczyliśmy w eksperymentalnym programie dydaktycznym, w jednej grupie. On był moim nauczycielem. Mentorem. Zdaje się, że go trochę idealizowałam... od samego początku. Ten program zmuszał nas do częstych kontaktów, razem pracowaliśmy. Gdyby nie to, może w ogóle byśmy się nie poznali. W każdym razie do głowy by mi nie przyszło, że mógłby się mną zainteresować.

- Dlaczego nie? - zapytał delikatnie, ale stanowczo.

- Kiedy ma się tyle lat, ile ja wtedy... - Z trudem znajdowała słowa, świadoma przede wszystkim ciężaru dłoni Jarrada na swoich ramionach. - Dwa lata różnicy, zwłaszcza na medycynie, to prawie przepaść.

- Taak - zgodził się w mało przekonujący, lekko cyniczny sposób.

- Chyba nic dziwnego, że się w nim zakochałam - szepnęła, opuszczając głowę. - Wydawał się taki... mądry, wszechstronny, chętnie dzielił się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniem. Musiało mi to pochlebiać. Tym bardziej że wyglądało na to, że mu się podobam.

Nie mogła mu tylko powiedzieć, że nie miała wtedy żadnego doświadczenia z mężczyznami. Max był przystojny, bardzo męski, robił takie wrażenie na dziewczynach, że wszystkie koleżanki z grupy otwarcie jej zazdrościły. I sprawiał wrażenie zadurzonego w niej po uszy.

- Wyglądało na to? - skrzywił się Jarrad. - Jasne, że mu się podobałaś. Przecież ożenił się z tobą.

- Tak... - Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. Cóż mogła odpowiedzieć? Wiedziała, że jest atrakcyjna - niektórym mężczyznom wydawała się nawet piękna - ale nie należała do kobiet potrafiących w rozmyślny sposób wykorzystywać swoją urodę.

- Słucham, mów dalej.

- Postanowiliśmy się pobrać, kiedy Max dostał dyplom.

- Przed stażem? spytał z niedowierzaniem. - Jakby sam się prosił o kłopoty. A tobie zostały jeszcze dwa lata studiów.

- Tak... - Przypomniała sobie krótki miesiąc miodowy, po którym oboje musieli wracać do pracy. - W pierwszym roku małżeństwa większość czasu spędziliśmy oddzielnie.

Max spał w szpitalu. Zresztą sam wiesz, jak wygląda takie życie. Ja się przygotowywałam do egzaminów końcowych. Kiedy udawało nam się spotkać, próbowaliśmy nadrobić stracony czas... z małym powodzeniem.

Reszty możesz się domyślić. Zdaje się, że nasz los był przesądzony z góry. - Laurel uniosła głowę. - Nie chcę o tym dłużej rozmawiać.

Kiedy pochylił się wolno i przytulił twarz do jej twarzy, znieruchomiła, wstrzymując oddech. Zaczął całować jej szyję, uszy, czoło, delikatnie, ale z uporem, jak gdyby ją budził z letargu - tak jak słońce budzi do życia kwiaty.

Dopiero kiedy spotkały się ich wargi, Laurel usłyszała tłumiony krzyk, który mimowolnie wydobył się z jej krtani. Był w nim protest, lęk, ale też i pokusa, żeby zapomnieć o wszystkim i poddać się przyjemności.

Przyłgnęli do siebie gorączkowo, trochę nieporadnie, jakby paraliżowała ich ta sama obawa, że w każdej chwili może zadzwonić telefon wzywający jedno z nich do obowiązków.

- Laurel... Laurel... - szeptał do jej ucha drżącym głosem. - To piękne imię, zawsze zielone... silne. - Kto ci je wybrał?

- Moja... angielska babka.

Nagle, nie wytrzymując rosnącego napięcia, wyrwała się z jego objęć i odsunęła na bezpieczną odległość. Patrzyli na siebie w milczeniu, z podobnym zakłopotaniem i zdziwieniem w oczach.

- Zawsze myślałam - odezwała się w końcu - że ja ciebie po prostu nie lubię.

- No, to nie jest tak źle! Ja byłem przekonany, że to czysta nienawiść.

- Musisz mieć na swoim koncie jakiś miłosny zawód. Nie zaprzeczysz, prawda?

- Wolałbym rozmawiać o tobie. - Opuścił głowę.

- O moim życiu prywatnym wiesz już prawie wszystko, może teraz ty mi powiesz, dlaczego jesteś tak uprzedzony do kobiet w naszym zawodzie. Nieszczęśliwa miłość, prawda?

- Myślę, że jak na jeden dzień wystarczy nam zwierzeń - odparł niechętnie, zabierając się do wystygłego lunchu.

Wieczorem tego samego dnia pan Allett został przewieziony z intensywnej terapii do normalnej sali szpitalnej. Wszystko wskazywało na to, że jego stan ogólny jest bardzo dobry i jeśli w najbliższym czasie nie wystąpią powikłania jelitowe, za trzy dni będzie go można przewieźć regularnym samolotem rejsowym do Yellowknife.

Laurel, wdzięczna losowi, że pacjent dotarł do nich w porę i obyło się bez poważnych komplikacji, wróciła do swojego pokoju uśmiechnięta i odprężona. Usiadła w fotelu i zamknęła oczy.

Mogła teraz pomyśleć o tym, co się wydarzyło między nią a Jarradem. Przycisnęła palcami powieki, żeby uspokoić swoje rozgorączkowane myśli.

Nie mogła uwierzyć, że to, co się wydawało niemożliwe, stało się tak łatwo... że w ogóle się stało.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Jasny, prawie bezchmurny wtorkowy poranek zapowiadał typowy dzień arktycznego lata. Laurel wstała bardzo wcześnie, żeby wyjść na spacer i poodychać rześkim powietrzem, zanim z pobliskiej tundry nadlecą chmury komarów.

Wtorek był dniem przyjęć wszystkich dorosłych pacjentów z okolicy, potrzebujących jakiegokolwiek doraźnej pomocy lub porady lekarskiej. Czekał ich bardzo gorący dyżur, tym bardziej że Bonnie Mae była zajęta przygotowywaniem pana Alletta do podróży samolotem.

Idąc powoli w kierunku, z którego dobiegał odgłos pracujących lodołamaczy, Laurel myślała o swojej nowej pracy. Dwa dni temu nadeszło pisemne potwierdzenie, że dostała posadę, o którą się ubiegała. Jarrad nie zwierzał jej się, dokąd pojedzie za kilka tygodni, kiedy wygaśnie ich kontrakt w Chalmers Bay. Nie miała jednak wątpliwości, że czeka go błyskotliwa kariera. Ona miała skromniejsze ambicje, przypuszczała więc, że ich drogi rozejdą się na zawsze.

Przeczuwała, że dzień będzie wyjątkowo gorący, i nie pomyliła się.

- Poczekałnia jest pełna, doktorze Lucas - zawiadomił ich o dziesiątej Skip. - Czy mogą państwo sami wywoływać pacjentów? Będę zajęty wyciąganiem kart i prześwietleń tych ludzi, a Bonnie Mae przygotowuje wyjazd pana Alletta.

- Oczywiście, Skip! - odpowiedział Jarrad z przyjaznym uśmiechem. - Poradzimy sobie bez ciebie. Chcielibyśmy tylko zbadać po raz ostatni pana Alletta. Na wszelki wypadek. Jest pani gotowa, doktor Hartę? - Rzucił Laurel ukradkowe, ironiczne spojrzenie.

- Oczywiście - odparła obojętnie. - Jestem gotowa. Idę z panem, doktorze Lucas.

- Witam drogich doktorów! - Bonnie Mae przywitała ich wesołym, tubalnym głosem, który doskonale harmonizował z jej ogromną posturą. - Melduję pacjenta przygotowanego do odlotu! Pan Allett jest w świetnej formie. Naprawdę świetnej! Prawda, panie Allett?

- W porównaniu ze stanem, w jakim mnie tu przywieźli, czuję się jak w niebie - przytaknął, uśmiechając się promiennie. - Ale nie mogę się doczekać chwili, kiedy zobaczę prawdziwe słońce, nawet gdybym miał je oglądać ze szpitalnego łóżka.

Jarrad wyjął z kieszeni fartucha słuchawki.

- Zanim się pożegnamy, muszę pana trochę osłuchać, panie Allett - oświadczył z uśmiechem. - A tego prawdziwego słońca zazdrościć panu, proszę mi wierzyć.

Laurel miała własny mały gabinet, w którym przeprowadzała wstępny wywiad chorobowy, potem zaś, w razie potrzeby, pacjent przechodził do bocznego pokoiku, w którym znajdowało się łóżko do badania oraz podstawowy sprzęt diagnostyczny. Zaszła się tam, kiedy Bonnie Mae z panem Allettem wyjechali na lotnisko.

- Ach, więc tu pani jest, doktor Hartę! - Skip wkroczył do pokoju w nienagannie białym fartuchu, z uśmiechem na okrągłej, pogodnej twarzy. - Mam dla pani ciekawą pacjentkę. Młoda kobieta, trzydzieści cztery lata, przyjechała z południa. Doktor Lucas już ją badał, ale chciałby znać pani opinię. Jest w jego gabinecie.

Laurel spojrzała na kartę, którą wręczył jej Skip, ale nie znalazła na niej żadnego wpisu Jarrada.

- Czy to zadanie dla detektywa? Widzę, że doktor Lucas zachował swoje wnioski dla siebie.

- Na to wygląda. - Skip uśmiechnął się. - Może mu pani doktor odplacić kiedyś tym samym. Trudnych przypadków nam nie brakuje.

- Masz rację. Nie ma sprawy, wezmę się do tego. Usiadłszy na biurku, przejrzała uważnie kartę pacjentki.

Autorem ostatniej notatki był Skip, który przeprowadził z chorą wstępny wywiad: „Narzeka na nadmierne męczenie się, ogólne złe samopoczucie”.

Kiedy Laurel weszła, Jarrad stał za biurkiem, zamyślony i wpatrzony w swoje zapiski.

- Cześć. Pomyślałem, że chętnie się zajmiesz panią Landers. - Gestem dał znak, że pacjentka jest w pokoju do badań. - To ciekawy przypadek.

- Nie dostałam od ciebie żadnych danych, z których mogłabym wyciągnąć jakieś wnioski.

- Chciałbym, żebyś zaczęła od zera. - Patrzył na nią z lekkim rozbawieniem. - Niczym sienie sugerowała. Zresztą sama pacjentka wyraziła potrzebę rozmowy z kobietą lekarzem. Zdaje się, że większość lekarzy, których odwiedziła, potraktowała ją jak przypadek psychiatryczny.

- Ty też? Według ciebie mieli rację?

- Odpowiedź brzmi „nie”, na oba pytania. Chodź, sama się przekonasz.

Pani Landers była wysoką, bardzo szczupłą kobietą o bladej twarzy i rzeczywiście wyglądała na krańcowo wyczerpaną. Laurel weszła do pokoiku pierwsza i sama się przedstawiła.

- Niestety, pani Landers, będę musiała poprosić panią o powtórzenie każdego słowa, ponieważ doktor Lucas chciałby, żeby moja opinia była całkowicie niezależna od jego zdania.

- Ależ oczywiście. - Napięta twarz pacjentki rozpuściła się. - Bardzo się cieszę, że będę mogła porozmawiać z lekarką. Mężczyźni sądzą na ogół, że oszalałam. W każdym razie lekarz z Edmonton, u którego byłam rok temu, wysłał mnie do szpitala na oddział psychiatryczny. Powiedział, że na badanie. Nie odkrył, co mi dolega, ale to mnie wcale nie pocieszyło. Proszę nie brać tego do siebie, doktorze Lucas, bo pan był wspaniały!

Jarrad uśmiechnął się do niej ciepło i kiwnął głową na znak, że rozumie.

- Proszę opowiedzieć mi o swoich dolegliwościach. Pielęgniarsz zanotował, że bardzo się pani męczy.

Laurel mówiła łagodnie, starając się zapomnieć o obecności Jarrada, który stał tuż za jej plecami.

- Jestem bez przerwy zmęczona i nie wierzę, żeby taki stan mogło usprawiedliwiać zajmowanie się dwójką energicznych dzieci, ani w to, że mieszkanie na północy jest bardziej męczące niż na południu.

Josi Landers mówiła z rozmysłem, starannie dobierając słowa.

- Czy mieszka tu pani na stałe?

- Nie, dzięki Bogu! Mój mąż przyjechał tu na kilka tygodni, żeby poprowadzić jakieś szkolenie w tutejszym banku. Jesteśmy z Edmonton. Nie mogę się doczekać powrotu do domu. No więc, jak powiedziałam, wciąż jestem zmęczona i... w ogóle nie czuję się dobrze. Nie mogę powiedzieć, że boli mnie to lub tamto, ale... wiem na pewno, że coś jest z mną nie tak.

- Rozumiem - powiedziała Laurel, odkładając na chwilę pióro.

- Straciłam apetyt. Chudnę. Mimo że gotuję dla dzieci i męża, nie mam ochoty na jedzenie. Nie czuję głodu. Czasami zbiera mi się... rozumie pani... na wymioty, ale kończy się tylko na mdłościach. Od czasu do czasu mam gorączkę i pocę się.

Laurel wypytała pacjentkę o stan jej zdrowia od urodzenia, choroby występujące w bliższej i dalszej rodzinie -wszystko skrupulatnie notując.

- Często bolą mnie stawy, rzadziej mięśnie. Najdziwniejsze, że nie zawsze te same stawy - jakby ten ból wędrował... Domyślam się, że to głównie z tego powodu lekarze brali mnie za wariatkę. Ale tak właśnie jest. Przecież nie mogę zmyślać i udawać, że boli mnie w jednym miejscu, prawda?

- Nie, pani Landers, nie może pani. Proszę pamiętać, zwłaszcza wtedy gdy czuje się pani załamana, że bezradność lekarzy, którzy nie potrafiały

rozpoznać pani choroby, nie świadczy o tym, że tej choroby nie ma - powiedziała Laurel. - Bardzo często wina leży po stronie lekarza, któremu brakuje wiedzy i doświadczenia, dlatego nie potrafi postawić właściwej diagnozy. I bywa tak, jak w starych złych czasach, kiedy wszystkiemu winne były czarownice.

- Święte słowa, pani doktor! Proszę mówić do mnie Josi.

- Z drugiej strony czasami rozpoznanie jest niemożliwe - po prostu dlatego, że nasza wiedza jest ograniczona. W twoim przypadku mogę ci obiecać, że zrobię wszystko, żeby to rozgryźć. Od dawna utrzymuje ci się ten rumień na twarzy?

- Tym razem co najmniej od dwóch tygodni. Ale wcześniej też to miałam. Poza tym wypadają mi włosy, a dłonie puchną tak, że muszę natychmiast zdejmować pierścionki. Od czasu do czasu wysiada mi wzrok: zaczynam widzieć jak przez mgłę. Zastanawiałam się, czy nie powinnam nosić okularów, ale ten objaw mija i potem znów widzę doskonale.

- Bierzesz jakieś lekarstwa? Pigułki antykoncepcyjne?

- Tak, pigułki. Nic więcej.

- Chciałabym cię teraz osłuchać. - Laurel odłożyła pióro i wyjęła z kieszeni słuchawki. - Pokażesz mi, gdzie masz najczęściej bóle. Potem pobierzemy ci krew do kilku badań laboratoryjnych i wyślemy próbki do Edmonton. Chyba że zrobił to już doktor Lucas? - Spojrzała pytającym wzrokiem na Jarrada.

- Nie... Jeszcze nie, pani doktor. - Jarrad oderwał plecy od ściany i opuścił ręce jak uczeń wyrwany do odpowiedzi. Patrzył na Laurel z nie tajonym podziwem. - Nie będę pani dłużej przeszkadzał. Proszę dać mi znać, kiedy pani skończy. Tymczasem przyjmę w gabinecie następnego pacjenta.

Kiedy Laurel skończyła badanie i pobrała krew, Josi zapytała drżącym głosem:

- Naprawdę nie uważa pani, że zwariowałam?

- Oczywiście, że nie! - Nie jestem jeszcze absolutnie pewna, co ci dolega, ale jedno mogę powiedzieć: ta choroba nie ma nic wspólnego z twoją głową.

- Dzięki Bogu - powiedziała Josi, łykając łzy.

- Istnieje grupa tak zwanych chorób układowych opartych na mechanizmie autoimmunizacyjnym, czyli autoagresji. Niełatwo je rozpoznać i niełatwo odróżnić jedną od drugiej - tłumaczyła Laurel - ale pomogą nam badania krwi i moczu. Należy do tych chorób między innymi reumatoidalne zapalenie stawów, a także stwardnienie rozsiane.

Podejrzewam, że ty możesz mieć coś, co nazywa się toczeniem. Dokładniej jest to toczeń rumieniowaty trzewny. Przyczyny tych schorzeń jeszcze nie poznano. Podejrzewa się, że mechanizm autoagresji może być uruchomiony przez wirusy, bakterie albo leki, choćby takie jak pigułki antykoncepcyjne. Niektóre z tych chorób mogą mieć też podłoże genetyczne.

- Czy można coś zrobić?

- Zaczyna się stosować pewne lekarstwa, nawet z powodzeniem, ale to dopiero etap doświadczeń. Tobie zaproponowałabym przede wszystkim... - Laurel położyła dłoń na ramieniu Josi - leczenie objawowe, które będzie łagodziło różne dolegliwości - wtedy, kiedy one wystąpią -i ułatwi ci życie. Wiadomo, że ta choroba wywołuje niepokój i depresję, dlatego przepiszę ci leki antydepresyjne. Bierz je, jeśli będziesz ich potrzebowała. Nie żebym wątpiła w twoje zdrowie psychiczne, Josi, chcę tylko pomóc ci to znosić.

- Zawsze to jakaś ulga!

- Dopiero kiedy dostanę wszystkie wyniki, będę mogła zaproponować ci jakieś konkretne, bardzo szczegółowe postępowanie. W tej chwili radziłabym ci wrócić jak najszybciej do Edmonton, nawet jeśli twój mąż musi tu jeszcze zostać. Powinnaś zrobić elektroencefalogram, badanie, które daje zapis pracy mózgu. Znam dobrego internistę, który zajmuje się tego typu schorzeniami. Musisz być pod opieką specjalisty, a nie człowieka, który pośle cię do szpitala psychiatrycznego.

- Tak, na to właśnie liczę. Doktor Lucas powiedział dokładnie to samo.

- Przyjdź do nas o tej samej porze za tydzień albo wcześniej, jeśli wyniknie taka potrzeba. Dam ci pewne lekarstwa łagodzące objawy, o ile doktor Lucas zgodzi się z moją diagnozą. Następnym razem opowiesz mi dokładnie, jak one na ciebie działają.

- Dobrze, pani doktor. I bardzo dziękuję.

- Aha, mierz często temperaturę, kilka razy dziennie, i zapisuj wyniki. Jeżeli obudzisz się w nocy spocona, też zmierz temperaturę. Będziemy pracować jak detektywi, dopóki nie ustalimy pewnego rozpoznania. Jeżeli chcesz, żebym porozmawiała z twoim mężem o wcześniejszym powrocie do domu, zrobię to z przyjemnością.

- Dziwne, ale czuję się, jakby spadł ze mnie wielki ciężar. Samo nazwanie tej choroby ulżyło mi, mimo że nie ma na to lekarstwa. Ale mogło być gorzej. - Josi Landers uśmiechnęła się do Laurel zaciśniętymi ustami.

- No i co, doktor Hartę? Jaki jest pani werdykt? - Jarrad wszedł do pokoju, zerkając ciekawie w notatki Laurel.

- Prawdopodobnie toczeń.

- Tak też myślałam.

Kiedy Josi Landers odjechała do domu, usiedli, żeby spokojnie o niej porozmawiać. Toczeń rumieniowaty trzewny należy do schorzeń postępujących o charakterze nawrotowym. Można z nimi żyć całymi latami, chociaż czasami mogą powodować bardzo ciężkie dolegliwości.

- Gratuluję trafnej diagnozy - powiedział Jarrad, sadowiąc się za biurkiem.

- Raczysz żartować! Pozwól, że ja tobie pogratuluję. Zresztą wstrzymajmy się z gratulacjami do nadejścia wyników. Oboje możemy się mylić, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nie jesteśmy ekspertami od chorób układowych. W Gresham znalazłoby się kilka osób, które by nam poradziły.

- Laurel zmarszczyła czoło.

- Ale tutaj możemy polegać wyłącznie na sobie. - Kiedy spojrział jej prosto w oczy, była pewna, że i on pomyślał o dniu, w którym stracili nad sobą kontrolę. - To nowe doświadczenie. Miejmy nadzieję, że uda nam się tak trzymać.

Laurel sięgnęła nonszalanckim gestem po kubek z kawą. Od trzech dni próbowała pielęgnować w sobie niechęć do Jarrada, przywoływała najgorsze wspomnienia z Gresham - ale coś się w tym mechanizmie zacięło... Tęskniła do jego dotyku, ciepłego głosu, do radości, o której sądziła, że umarła w niej na zawsze.

Stan Josi wprawił ją w przygnębienie.

- Okropne. Młoda kobieta, mająca dwoje małych dzieci, skazana na przewlekłą chorobę - powiedziała cicho. - To hańba, żeby jakiś niedouczonego internista wysyłał ją na oddział psychiatryczny!

- To się zdarza dość często, niestety... Dopilnujemy po prostu, żeby Josi Landers nie przydarzyło się już nic podobnego.

- Tak, powinniśmy zrobić dla niej naprawdę wszystko, co w naszej mocy.

- Powiedz mi, Laurel... Jak się pracowało z Maxem Freerem?

- Czy ja wiem? Tak naprawdę pracowaliśmy razem tylko na studiach.

- Czyli nie za wiele? - Mierzył ją chłodnym, przenikliwym wzrokiem. - Chyba mało czasu spędzaliście razem?

- Bardzo mało. Może to dziwne, ale tak było.

- Niesamowite - mruknął pod nosem.

- Ty wiesz... - Laurel próbowała zmienić temat - że ja chyba lubię tę pracę. W Gresham zapomniałam, jaka to frajda: rozgryźć ciekawy przypadek medyczny. Po kilku miesiącach, które spędziłam w sali operacyjnej, to jednak duża odmiana.

- Jasne. Bo chirurgia to, jakby nie było, męska sprawa. Dziwię się, że do tej pory tego nie zauważyłaś.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Nie wiesz, jak wygląda życie chirurga? Praca o każdej cholernej porze dnia i nocy, życie prywatne na poziomie bliskim zera, stresy z powodu wyczerpujących dyżurów. Nawet na urlopie cię znajdują, żeby cię ściągnąć albo zapytać o radę.

- To dlaczego to robisz?

- Kiedyś będę pracował ze współnikiem i zmniejszą liczbę dużurów. Poza tym jestem mężczyzną, więc nie ja będę rodził dzieci, jeśli zechcę je mieć. Tym się różni nasza sytuacja.

- Ty chciałbyś mieć dzieci? - Laurel wycedziła każde słowo oddzielnie, z jawną drwiną w głosie. - Nigdy bym cię o to nie podejrzewała. Zadziwiająco...

- Niektóre kobiety układają sobie życie w taki sposób, jak gdyby dzieci można było mieć tak sobie, przy okazji, między jednym ważnym zajęciem a drugim. Podrzucają je obcym ludziom na wychowanie, nie zastanawiają się tak naprawdę nad ich potrzebami, nie pytają, czy taka sytuacja im odpowiada. Nie wyobrażam sobie, żeby coś podobnego mogło spotkać moje dziecko.

- I słusznie.

- A ty nie chcesz mieć dzieci? Nie marzy ci się normalne życie?

- Tak... kiedyś. Mam jeszcze sporo czasu. Niestety, prawda jest taka, że nasze społeczeństwo niezbyt troszczy się o dzieci i ich matki. Ja też nie wyobrażam sobie życia, jakie przed chwilą opisałeś. Ale nie mam złudzeń i wiem, że ten system nie zmieni się specjalnie dla mnie.

- Laurel, mimo to nie daj z siebie zrobić twardego babsztyla. Znam mnóstwo takich robotów w kobiecej skórze. Pracuję z nimi.

- Miałam wrażenie, że od dawna tak o mnie myślisz - opowiedziała nienaturalnie łagodnym głosem. - A jak byś nazwał męski odpowiednik „twardego babsztyla”? Pracuję prawie wyłącznie z takimi!

- Frajer. Patałach. Zgadzam się, że jest ich od groma, ale tobie na pewno zaświeci jeszcze słońce. Zasłużyłaś na lepszy los.

- Cóż za łaskawość - zaczęła z irytacją, ale w tej samej chwili poczuła, że nie ma ochoty na sprzeczkę. - Rozmawialiśmy o toczniu...

Przerwał im Skip, który wszedł do gabinetu z kartą następnego pacjenta. Laurel ściągnęła usta i posłała Jarradowi wyzywające spojrzenie. Odpowiedział jej nieznacznym uśmiechem. Zastanawiała się, czy myślał o tym samym... Kiedy ją całował po raz pierwszy i jedyny, miała wrażenie, że

chce ją całą wchłonąć, jak gdyby jego głód uczucia i głód miłości fizycznej zbliżały się do stanu krytycznego.

Kiedy Skip zaczął rozmawiać z Jarradem o czekających na korytarzu pacjentach, dopiła kawę i bez słowa wyszła z gabinetu.

O drugiej po południu na przyjęcie czekał tylko jeden mężczyzna. Ze wstępnych informacji wpisanych do karty przez Skipa wynikało, że ma niespełna trzydzieści lat i przyjechał z południa do sezonowej pracy. Zgłosił się z powodu guza na szyi.

Laurel otworzyła drzwi i wywołała nazwisko:

- Rick Somers!

- To ja - odpowiedział przystojny, młody człowiek o pogodnych, brązowych oczach i czarnych, kręconych włosach.

Kiedy podszedł do niej na wyciągnięcie ręki, zobaczyła ogromny, nieregularny guz z lewej strony szyi. Niemal natychmiast pomyślała o chorobie Hodgkina.

- Zapraszam do gabinetu. Od dawna ma pan ten guz?

- Zauważyłem go... kilka miesięcy temu. Był mały, więc nic z tym nie robiłem - informowałem spokojnie, siadając na krześle. - Ale ostatnio zaczął szybko rosnąć.

- Był pan z tym u lekarza?

- Nie, skąd tam! - Machnął ręką. - Myślałem, że może sam zniknie.

- Czy to boli? - spytała, dotykając napiętego, lekko przesuwalnego guza o nierówną powierzchnię.

- Nie.

Laurel przypomniała sobie cały fragment z podręcznika interny o „złym rokowaniu” w ziarnicy złośliwej, czyli chorobie Hodgkina. Jedynym pocieszeniem w tym przypadku mogło być to, że przerost węzłów chłonnych szyjnych jest widoczny - w przeciwieństwie do zmian umiejscowionych w śródpiersiu lub jamie brzusznej, niewykrywalnych do czasu, kiedy zaczynają powodować ucisk sąsiednich narządów.

- Czy miewa pan napady gorączki albo traci wagę? Pytając go o to pomyślała, że koniecznym krokiem będzie wykluczenie zakażenia AIDS.

- Owszem, tak. Prawdę mówiąc, jedno i drugie.

- Zaczniemy od tego, że pobiorę panu krew do badań i zrobię zdjęcie klatki piersiowej. Czy mógłby pan przyjechać do nas jutro na biopsję? Musimy pobrać z guza materiał do badania histopatologicznego.

- Tak, tak... Oczywiście, że mogę.

- W takim razie chciałabym, żeby obejrzał pana jeszcze mój kolega, doktor Lucas.

Dużo później, kiedy z zamkniętymi oczami odpoczywała na własnym łóżku, zadzwonił telefon. Spojrzawszy na zegarek, nie mogła uwierzyć, że leży tak już godzinę. Był wczesny wieczór, koniec wyczerpującego, choć na pewno nie nudnego dnia pracy. Początek dyżuru i wezwań do nagłych przypadków. Zaczęła się modlić, żeby do powrotu Bonnie Mae nie wydarzyło się nic poważnego.

- Słucham?

- Doktor Hartę! - Głos Skipa otrzeźwił ją na dobre. - Jest tu kobieta z silnym krwawieniem z dróg rodnych. Przyjechała bez uprzedzenia. Z tego, co mówi, wygląda mi to na poronienie w toku, bardzo wczesna ciąża. W każdym razie myślała, że jest w ciąży. Nie miała dwóch kolejnych miesiączek, wczoraj zaczęła krwawić, dzisiaj po południu bardzo silnie. Czuje, że straciła ciążę. Nie po raz pierwszy.

- Jakie ma ciśnienie?

- Na razie w porządku. Podłączyłem ją do monitora.

- Dobrze, Skip. Będę za kilka minut. Przygotuj salę operacyjną i narzędzia. Wiesz, który zestaw?

- Jasne.

Kiedy Laurel weszła do pokoju badań, młoda Eskimoska nazywająca się Lori Tuk zalewała się łzami.

- To jej czwarta stracona ciąża - szepnął Skip. - Dwadzieścia dwa lata, od trzech lat zamężna.

- Dobry wieczór. - Laurel przywitała się z pacjentką, potem przejrzała błyskawicznie jej kartę. Tak jak powiedział Skip, wszystkie poprzednie ciążę kończyły się samoistnym poronieniem.

- Byłaś kiedykolwiek w mieście? - spytała. - W przychodni położniczej, u lekarza zajmującego się bezpłodnością? Nie masz co prawda kłopotów z zajściem w ciążę, ale bywają przyczyny genetyczne; jeśli płód jest uszkodzony, bardzo często dochodzi do poronienia. Zdarza się też taka wada, którą nazywamy nieomogą szyjki macicy. Można ją stwierdzić w czasie zwykłego badania.

- Nie, nigdzie nie byłam - przyznała młoda kobieta, ocierając oczy. - Może teraz pojedę. Mam tego dosyć.

- Chcesz mieć dziecko? A twój mąż?

- O, tak. Bardzo.

Pół godziny później było już po zabiegu. Laurel wytłumaczyła pacjentce, że wyłuszczenie jamy macicy z resztek ciąży zapobiega infekcji narządów rodnych oraz zakażeniu ogólnemu.

- Szyjka jest rozwartą - zwróciła się do Jarrada, który znieczulał pacjentkę. - Wcale bym się nie dziwiła, gdyby cały problem polegał na niedomodze szyjki.

Nie mogła być jednak tego pewna, ponieważ przy każdym poronieniu samoistnym następuje mniejsze lub większe rozwarcie.

- Tak, to bardzo prawdopodobne.

Czekając na wybudzenie się Lori Tuk z narkozy, Laurel zdała sobie nagle sprawę, że ona sama odkładała macierzyństwo na dość odległą przyszłość. Zakładała przy tym podświadomie, że urodzi dziecko, kiedy będzie chciała. Bez żadnych kłopotów. Teraz, kiedy patrzyła na tę umęczoną kobietę, owładnął ją dziwny niepokój.

- Popatrz, to prawie dziecko - powiedział Jarrad. - I ma już za sobą kilka nieudanych ciąż.

- Właśnie. Tak tu jest. Macierzyństwo, a potem walka o przetrwanie rodziny. Taka jest ich rola.

Do pokoju zajrzał Skip, który skończył robić porządek w sali operacyjnej.

- Zadzwońm po Nunę, żeby posiedziała w nocy przy pani Tuk. Ma pan coś przeciwko temu, doktorze Lucas? A pani, doktor Hartę?

- Nie, dobrze zrobiłeś, Skip - odpowiedziała Laurel. - Dziękuję. Jeśli będzie miała jakieś kłopoty, zawsze może do mnie zadzwonić.

- W porządku, Skip - zgodził się Jarrad. - Laurel, możesz się teraz przespać, boja i tak poczekam, aż dziewczyna się wybudzi.

- Dzięki, ale ja też zostanę. Muszę sprawdzić, czy za bardzo nie krwawi, chociaż mało prawdopodobne, żeby coś zostawiła.

- Jestem pewien, że zrobiłaś wszystko jak należy. - Odwrócił się do Laurel i czekał, aż spojrzy mu w oczy. - Lubisz mieć nad wszystkim kontrolę, prawda? Za wszystko czujesz się odpowiedzialna. Niesamowite... Przyglądam ci się codziennie i coraz bardziej podziwiam.

- Czy nie chcesz przypadkiem powiedzieć, że świat chirurgii poniósłby wielką stratę, gdybym zmieniła zajęcie?

- Tak, chyba tak, ale martwiłbym się o wiele bardziej, gdyby twoja kobiecość miała ucierpieć z winy chirurgii.

- Uważasz, że w mojej sytuacji nie da się tych rzeczy pogodzić, prawda? Tobie społeczeństwo pozwala na pełnię życia, bo jesteś mężczyzną. Nie musisz poświęcić chirurgii, żeby spełnić się w innych męskich rolach?

- Nie całkiem się z tym zgadzam. Próbuję cię przekonać, że jeśli nie będziesz ostrożna, praca zawładnie twoją całą egzystencją i nie zostawi czasu na prywatne życie. Joshua Kapinsky jest tego najlepszym przykładem.

Może dotąd nie zależało mu na prywatnym życiu... Dopiero teraz mu się odmieniło, kiedy jest za stary, żeby mieć dzieci.

- Nie mieszaj go do tego - powiedziała ostrzegawczym tonem.

- Natura nie pozwala nam mieć dzieci. I to jest największa zależność mężczyzn od kobiet.

- Więc dlatego chcesz wzbudzić we mnie poczucie winy? Za to, że mam ten przywilej i nie korzystam z niego? Ciekawe, czy zauważyłeś, że macierzyństwo to nie tylko radość, ale także rozpacz i cierpienie. Przyjrzyj się naszej pacjentce.

- Tak, wiem.

- Może ty mi naprawdę zazdrościsz.

- Tak, to możliwe. Widzę, że opanowałaś również sztukę psychoanalizy - powiedział delikatnie, kładąc rękę na jej dłoni. - Może któregoś dnia zaczniesz od mojego dzieciństwa.

Nie była pewna, czy całkiem żartuje, czy tylko trochę. Dotyk jego palców uruchomił w jej ciele wszystkie sygnały alarmowe. Pragnęła, żeby ta chwila trwała, a jednak wycofała ostrożnie rękę.

- Spróbujmy! Twoja matka była twardą, bezwzględną kobietą, która cię kompletnie zaniedbywała. To przez nią skazany jesteś na poszukiwanie odwiecznej matki ziemi...

Jarrad wybuchnął śmiechem.

- Świetnie, pani doktor Hartę Freud! Prawdę mówiąc, nie była ani twarda, ani bezwzględna, ale że nie poświęcała mi za wiele uwagi, to prawda. Przyrzekłem sobie w dzieciństwie, że za nic nie popełnię tego błędu wobec mojego dziecka.

- Rozumiem. No i wszystko staje się jasne.

- Czyżby? - Uśmiechnął się do niej drwiąco i znowu pogładził po dłoni. - Nie wydaje mi się, Laurel, żebyś szukał w tobie odwiecznej matki.

Ich pacjentka zaczęła się niespokojnie poruszać i kręcić głową. Jarrad wyjął z jej ust rurkę intubacyjną.

- Sprawdzę tylko, czy nie za bardzo krwawi i idę się przespać - oznajmiła Laurel. - Jeśli nie zmieniłeś zdania i posiedzisz przy niej.

- Nie zmieniłem. Rób swoje i znikaj.

Prysznic we własnej łazience był tym, o czym marzyła od dobrych kilku godzin. Namydlając szamponem włosy, wciąż myślała o dzieciach. Maxowi nieszczęśliwie na nich zależało. „Może...”, powiedział obojętnie, kiedy spróbowała z nim o tym porozmawiać. Sama zajęta pracą, nie nalegała i nigdy więcej nie powróciła do tego tematu.

Kiedy Jarrad wrócił z dyżuru, siedziała w pokoju jadalnym otulona w gruby szlafrok i przeglądała historie choroby pacjentów, których badała tego dnia w przychodni.

- To ty jeszcze nie śpisz?! - Pokręcił głową i zniknął w kuchni.

Usłyszała pstryknięcie elektrycznego czajnika, a potem dźwięk wpadającego do szklanki lodu.

- Mogę zrobić drinka? - spytał ożywionym głosem.

- Czy ja wiem... Dobrze. Wodę z odrobiną whisky.

- Brawo - zakpił. - Jak hulać, to hulać!

- To może zaparzysz jeszcze kawy?

- Z przyjemnością. - Jarrad wręczył jej szklankę i usiadł po przeciwnej stronie stołu. - Ale na razie opowiedz mi coś więcej o Maksie, Laurel.

- Po co? Dlaczego mnie tak o niego wypytyujesz? Jesteś uparty... jak pies na widok kości. - Uśmiechnęła się mimowolnie.

- No więc?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Spróbuj. Uciekasz od tego, prawda? A tu już nie ma dokąd uciekać.

- Masz rację, że powinnam o tym z kimś porozmawiać - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. - Ale nie wiem, Jarrad, czy akurat ty jesteś właściwą osobą. Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

- Przekonaj się.

- No więc... Kiedy nadszedł mój rok stażowy, nasze emocje zaczęły stygnąć. Na początku prawie niezauważalnie... Max złościł się na mnie, potem wpadał w coraz większą wściekłość, kiedy w jego dni wolne ja miałam dyżur. Naprawdę chcesz tego. słuchać?

- Naprawdę.

- Zapomniał, ile miałam cierpliwości, gdy on był na stażu. Czasami to było... po prostu okropne. Myślę, że uciekałam w pracę. Nie miałam odwagi zmierzyć się z tą sytuacją, spojrzeć prawdzie w oczy.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- W końcu zrobiło się prawdziwe piekło, ale żadne z nas nie miało odwagi choćby wspomnieć o rozwodzie. Perspektywa zerwania wisiała między nami w powietrzu. Była jak ciężar zawieszony na słabym sznurku, który w każdej chwili może spaść na głowę. Zaczęliśmy mieszkać oddzielnie. Kiedy zdarzył się ten wypadek, nic nas już nie łączyło.

- Uhm...

- A teraz powiedz mi coś o sobie.

- Kiedyś chciałem się ożenić - wyznał niechętnie.

- Z lekarką? Bardzo ambitną, nastawioną na robienie kariery.

- Jak na to wpadłaś? - Roześmiał się głośno.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, w sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. Jarrad poderwał się, żeby go odebrać, a Laurel, z osowiałą nagle miną, pochyliła głowę nad kartą Josi Landers.

Kilka razy, odkąd przyjechali do Chalmers Bay, odbierał telefony zamiejscowe od kobiet, a ona zawsze traciła z tego powodu humor.

- To do ciebie - powiedział. - Joshua Kapinsky, ktoś by inny. - Obrzucił ją chłodnym, ironicznym spojrzeniem. - Nie rób takiej zdziwionej miny. Nie żyjemy na innej planecie, chociaż czasami tak nam się wydaje. Dobrej zabawy!

Kiedy na chwiejnych nogach podeszła do aparatu, Jarrad był już w swoim pokoju. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Joshua. Dziwne, bo zaledwie kilka godzin temu przekonywała samą siebie, że jej życie byłoby o wiele prostsze, gdyby zdecydowała się na to małżeństwo.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Podaj mi długie, tępe nożyczki, Skip.

Laurel przycisnęła gąbkę fibrynową do krwawiącego miejsca, a drugą, wolną rękę wyciągnęła po narzędzie.

Rick Sommers zjawił się rano na wyznaczony zabieg. W pełnym stroju operacyjnym, w asyście Jarrada i Skipa, Laurel miała pobrać wycinek jego guza do badania histopatologicznego.

- Dziękuję za pomoc - zwróciła się do Jarrada. - Pewnie poradziłabym sobie sama, ale uważam, że operowanie w pobliżu tętnicy szyjnej to zawsze spore ryzyko. Lepiej dmuchać na zimne.

- Słusznie, po co kusić los. Zresztą cała przyjemność po mojej stronie - powiedział uprzejmie, choć oczy błyszczały mu rozbawieniem.

- Potrzebny jest duży wycinek - wyjaśniła Skipowi, być może niepotrzebnie. - Większą część, dla anatomopatologa, wyślemy w formalinie do szpitala uniwersyteckiego, a mniejszą, w pojemniku z pożywką, do pracowni bakteriologicznej, żeby zrobili badanie na posiew w kierunku gruźlicy.

- Może napiszemy na skierowaniach, że to pilne - dodał Jarrad, przemijając krwawiące miejsce. - I żeby zadzwonili do nas, jak tylko będą mieli wyniki. Dopiero wtedy będzie można rozmawiać konkretnie o przewiezieniu Ricka do Edmonton.

Oboje wiedzieli, że jeśli badania laboratoryjne potwierdzą rozpoznanie choroby Hodgkina, pacjent jak najszybciej powinien zostać poddany radioterapii. Na szczęście zdjęcie rentgenowskie nie wykazało jeszcze zmian w klatce piersiowej, poza tym kilka dni rekonwalescencji po zabiegu i oczekiwania na wyniki może dać Rickowi szansę na zlikwidowanie albo uporządkowanie interesów w Chalmers Bay.

Laurel pobrała ostrymi nożyczkami fragment tkanki, zacisnęła krwawiące naczynia kleszczykami, potem z pomocą Jarrada podwiązała je catgutem, a niektóre koagulowała.

- Nie usunie pani całego guza? - zapytał Skip.

- Nie. Zostawię to chirurgom ze szpitala w Edmonton, jeśli uznają taki zabieg za konieczny. I tak musiałyby tam pojechać na naświetlania, a ja nie mogę pozwolić sobie na ryzyko silnego krwawienia z dużych naczyń. Na razie staram się zrobić wszystko, żeby ustalić diagnozę.

- Ona jest tchórzem, Skip - zażartował Jarrad bez cienia złośliwości.

- W to nie uwierzę - odparł pielęgniarz.

- Trzeba będzie mu zrobić tomografię komputerową, a po operacji, jeśli rzeczywiście ma Hodgkina, poddać naświetlaniu, które zniszczy resztki guza.

Laurel mówiła prawie szeptem. Wiedziała, że pacjent, mimo iż Jarrad podał mu dożylnie narkotyczne środki oszłamiające i znieczulił miejscowo, wcale nie musi być nieprzytomny. Słuch jest ostatnim ze zmysłów; który ulega całkowitemu wyłączeniu pod wpływem narkotyków lub środków znieczulających, i pierwszym, który się budzi, jeśli już do takiego wyłączenia dojdzie.

- Jeżeli anatomopatolog potwierdzi rozpoznanie Hodgkina - tłumaczyła dalej Skipowi - ustalą też, na ile zaawansowane są zmiany chorobowe.

Rick oddychał głęboko, wolnym, miarowym rytmem. Laurel przyglądała się jego odprężonej, chłopięcej twarzy z bolesnym współczuciem. Kilka lat starszy od niej mężczyzna, a wygląda na siedemnastolatka. Był o wiele za młody, żeby pogodzić się z tak ciężką chorobą i jej wszystkimi następstwami.

- Tragiczne, prawda? - powiedział Jarrad łagodnym szeptem, jakby dając Laurel do zrozumienia, że nie tylko czyta w jej myślach i w sercu, ale czuje tak samo.

- Tak...

Kiedy operacja dobiegła końca, Skip przewiózł Ricka do sali pozabiegowej, a Laurel pospiesznie umieściła pobrane wycinki w naczyniach z odpowiednimi płynami i zapakowała je do izotermicznych pojemników. Joe Fletcher czekał już na korytarzu, żeby zawieźć je na lotnisko. Tego dnia tylko jeden samolot leciał do Edmonton, dlatego nie mogli sobie pozwolić na spóźnienie.

- Strasznie nam brakuje Bonnie Mae - westchnęła Laurel, gdy Jarrad wypełniał skierowania, które musieli dołączyć do przesyłki. - Pewnie wróci dopiero jutro wieczorem.

- Niestety - westchnął.

Z powodu nieobecności Bonnie większość wyznaczonych na te dni zabiegów spadła z planu. Operować mogli ze Skipem, ale brakowało im personelu, który zająłby się chorymi po operacji. Nuna, mimo że była po całonocnym dyżurze, zgodziła się zostać przy Lori Tuk do południa.

- Podejrzewam, że wypuścimy dzisiaj Lori do domu - orzekł Jarrad. - To by nam dało trochę oddechu, a na wszelki wypadek możemy odwiedzać ją przez tydzień w domu.

- Dobrze. W takim razie chciałabym ją zbadać.

- Proszę się nie martwić, pani doktor - wtrącił Skip.

- Jakoś sobie do powrotu Bonnie poradzimy.

Jakoś sobie poradzili. Laurel jeszcze tego samego dnia wytłumaczyła Rickowi Sommersowi, czym jest choroba Hodgkina. Starła się realnie, ale niezbyt pesymistycznie, określić jego szanse przeżycia - zakładając, oczywiście, że wstępną diagnozę potwierdzą wyniki badań histopatologicznych. Nie było to łatwe zadanie. Rick zgodził się polecieć do Edmonton, poddać operacji i naświetlaniom.

Zbadała też Lori Tuk i zwolniła ją do domu. Teraz od samej Lori zależało, czy zechce umówić się na wizytę u ginekologa.

Kiedy o piątej po południu Laurel wracała do siebie, minęła się w drodze z Joe Fletcherem, co sprawiło jej ogromną ulgę. Marzyła o prysznicu i chwili samotności.

- Przyniosłem właśnie kolację, doktor Hartę. Na pewno będzie pani smakować! Pstrąg arktyczny z rusztu w sosie akadyjskim, ryż, zielony groszek, a na deser niespodzianka

- specjalność szefa kuchni. Myślałem o „pieczonej Alasce”, ale bałem się, że jej pani nie doceni.

- Przestań, Joe, nie mogę się doczekać tej kolacji, umieram z głodu. Dziękuję! - zawołała za nim głośno, kiedy zniknął za drzwiami.

W drodze do łazienki pozbywała się kolejnych części ubrania i rzucała je na podłogę. Czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę - kompletnie wyczerpana, niezdolna zebrać myśli, jakby jej umysł pracował na jałowym biegu.

Kiedy wyszła z kąpieli dopiero teraz naprawdę głodna

- usłyszała, że w łazience Jarrada leci woda z prysznica. Perspektywa wspólnej kolacji wydała jej się więcej niż zachęcająca. W dzinsach i bawełnianej bluzie poczuła się jak nowo narodzona. Prawie zapomniała o zmęczeniu.

Joe wstawił ich kolację do pieca. Tylko czekoladowy deser - „niespodzianka szefa kuchni” - zajmował honorowe miejsce na blacie kuchennym. Wyjęła sztućce, talerze i kieliszki, zdecydowana naruszyć ich żelazny zapas białego wina. Nieczęsto sobie na ten luksus pozwalali, a to dlatego, że w Chalmers Bay wino było po prostu nieosiągalne: trzeba je było zamawiać na południu i odbierać z lotniska. Nie powstrzymywało to części miejscowej ludności od nadużywania alkoholu, na północy bowiem znacznie bardziej ceniono mocne trunki.

- No, no... Przerwa na ucziwy posiłek? - zakpił Jarrad na widok jej przygotowań. - Pani doktor, czy to babskie zajęcie nie jest zbyt wielkim poświęceniem z pani strony?

- Wypchaj się! Mam nadzieję, że jutro twoja kolej -odparła błyskawicznie i usiadła do stołu.

- Co tam słyhać u starego Josha? - zapytał, kiedy zaspokoił pierwszy głód. - Nie wycofał propozycji matrymonialnej? Wciąż ma na ciebie chrapkę? Głupie pytanie, jasne, że ma...

Gdyby nie kieliszek wina, po którym poczuła się cudownie odprężona, znalazłaby natychmiast ciętą ripostę. Teraz skrzywiła tylko wargi.

- Jeżeli bardzo chcesz wiedzieć, nie spałam z nim. Zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli, powiedziałam ci to, kiedy sugerowałeś uprzejmie, że byłam jego kochanką. Ale przypuszczam, że jest równie dobry w łóżku jak na sali operacyjnej.

- W takich sprawach lepiej nie opierać się na przypuszczeniach. - Jarrad patrzył na nią z wyraźnym rozbawieniem, a kiedy się zaczerwieniła, dolał do kieliszków wina. - Jesteś cudowna. Szkoda, że nie wiedziałem w Gresham, że tak magicznie działa na ciebie wino. Swoją drogą, śmieszne wyrażenie... spać z kimś. Sen jest ostatnią rzeczą, o którą tu chodzi. A Josh... Nie sądzę, żebyś wiele straciła.

- Zamkniesz się wreszcie?

- Wyjdiesz za niego, Laurel?

- Propozycja jest kusząca. Ale czy zam...?

- Nie - przerwał jej stanowczo. - Byłby dla ciebie dobrym tatusiem, a nie tatusiem twoich dzieci.

- Dlaczego tak cię to obchodzi?

- Czysta ciekawość. No i szkoda by było...

Wstała od stołu, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo dotknęły ją te słowa.

- Pozwolisz, że ci przyniosę deser niespodziankę Joe Fletchera - powiedziała słodkim głosem. - I mam nadzieję, że jutro ty mnie obsłużysz.

- Jasne. Dziękuję. - Wyciągnął się swobodnie na krześle, nie odrywając od niej wzroku. - A co byś powiedziała na wyprawę do miejscowej tawerny po deserze? Zapowiadali na dzisiaj konkurs piosenkarski, może być zabawnie. Poprosiłem już Skipa, żeby na zmianę z Nuną zerkali od czasu do czasu na Ricka Sommersa. Gdyby się coś działo, zadzwonią.

- A jeśli nie mam ochoty oglądać konkursu piosenkarskiego? - zawołała z kuchni.

Tawernę Golden Nugget odwiedzili dotąd najwyżej dwa razy. Był to zwykły bar, do którego ludzie przychodzili się napić, a od czasu do czasu odbywały się tam hałaśliwe „imprezy rozrywkowe”. Najtrudniej byłoby

doszukać się w nich rozrywki, pomyślała Laurel smętnie, ale dokąd musiała czasami pójść, żeby nie popaść w klaustrofobię.

- To i tak radziłbym ci skorzystać z mojej propozycji. Kiedy zostaniesz żoną starego Josha, pewnie już nigdy nie będziesz miała okazji wejść do takiej budy. Balet, koncerty w filharmonii, muzyka kameralna - proszę bardzo, ale koniec z tanią rozrywką, Laurel.

- Czy mógłbyś przestać go nazywać starym Joshem? To prostackie i obraźliwe, a on na to po prostu nie zasługuje! - powiedziała z furią, stawiając na stole talerzyki deserowe i kawę. - Wyobrażam sobie typ kobiety, z którą ty się ożenisz, ten twój ideał pramatki! Będzie miała owłosione nogi, wielki oklapły biust, zawsze na luzie, bez biustonosza, żadnego makijażu, włosy związane gumką - cała „au naturel”, łącznie z potem. Będzie pracowała w sklepie ze zdrową żywnością, oczywiście na pół etatu, przy pakowaniu soczewicy. Urodzi ci z dziesięcioro dzieci, co rok prorok, i będzie przekonana, że świat się kończy na tobie - to bez dwóch zdań!

Laurel wygłosiła swoją przemowę na stojąco, z rękami opartymi na biodrach, piorunując wzrokiem Jarrada, który pękał ze śmiechu.

Zdała sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy słyszy jego naturalny, swobodny śmiech. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w zmarszczone wesoło kąciki jego oczu, białe zęby... i znowu czuła tamten pocałunek. Musiała przypomnieć sobie, że tak naprawdę wcale tego faceta nie lubi. Nie było to zbyt trudne - wystarczyło, że wywoła z pamięci ostatni dzień swojej pracy w Gresham, tę okropną scenę, która odbyła się w szpitalnym bufecie.

- Nie przepadam za soczewicą ani kobietami, które zajmują się jej pakowaniem - powiedział w końcu, nie przestając się śmiać. - Jeżeli chodzi o żonę, w moich planach na najbliższe pięć lat nie mieści się małżeństwo. Na razie udaje mi się korzystać z towarzystwa kobiet bez zobowiązań matrymonialnych.

- Masz na myśli seks.

- To kobiety uważają, że mężczyznom zawsze chodzi o seks, prawda? Nie będę wyprowadzał cię z błędu, bo domyślałam się, że i tak byś nie uwierzyła. - Wstał, żeby rozmawiać z nią twarzą w twarz. - Kiedy dojrzeję do dzieci, rozejrzę się.

- Za klaczą zarodową.

- Uhm... - zgodził się z uśmiechem. - Powiedz mi, Laurel... dlaczego wysłaś za Maxa Freera? Był niegłupim facetem, ale według mnie nie dorastał ci do pięt. Gdyby nie twoje... nie wiem, jak to powiedzieć... przesadne zorientowanie na karierę, byłabyś absolutnie wspaiała. Jesteś

tylko trochę za bardzo wyrachowana. A może to wszystko z niepewności? Taki odruch obronny?

- A co cię to, do diabła, obchodzi? - wybuchnęła ze złością, zraniona tym razem do żywego. Ton ich rozmowy, na początku lekko kpiący, stawał się coraz bardziej obce-sowy i nieprzyjemny. - Domyślam się, oczywiście, że to zakamuflowany komplement. Boisz się powiedzieć otwarcie, co ci się we mnie podoba? Żeby mi się nie przewróciło w głowie czy żebym sobie za wiele nie wyobrażała? Nie bądź dzieckiem!

- Laurel, nie umiałbym tak grać. Nie z tobą - powiedział łagodnie.

- Myślałby kto, że jesteś taki spontaniczny! Uosobienie szczerości! Masz w sobie coś z zimnej ryby. Powściągliwy, trzymający wszystkich na dystans, jakby otaczała cię szklana ściana. Dlaczego jesteś taki spięty? Co takiego zdarzyło się w twoim życiu, powiedz mi!

Podszedł do niej powoli, nie odezwał się ani słowem.

- Kochałam Maxa, kiedy za niego wychodziłam - dodała ze ściśniętym gardłem. - Jak możesz mówić, że jestem wyrachowana? Skąd możesz o tym wiedzieć? Jesteś takim typem, który nigdy nie zapomina i nie przebacza, prawda? Nigdy nie rezygnujesz. Zgoda, byłam młoda i głupia, ale kochałam go.

Była tak przerażona, nie poznawała własnego głosu. Musiała przerwać, żeby nabrać powietrza i uspokoić drżenie warg.

- Cholera - szepnął. - Znowu to zrobiłem.

- Czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że kiedykolwiek kogoś kochałeś?

- Tak. Mogę - odparł cicho.

Kiedy starała się uspokoić, mając niemal pewność, że za jego kpiącą pozą kryje się inny człowiek, nabrał na łyżeczkę czekoladowego deseru i podał jej do ust.

- Proszę, otwórz szeroko.

Posłusznie otworzyła usta, wiedząc, że Jarrad próbuje ją przeprosić za ten wybuch.

Kiedy w doskonałych humorach wrócili z Golden Nug-get, zaczynało świtać.

- Wiesz, zanim się położę, chciałabym zajrzeć do Ricka Sommersa - oznajmiła.

- Pójdę z tobą. - Jarrad skrzył w kierunku głównego wejścia do przychodni. - Kiedy go wysyłamy do szpitala?

- Jak najszybciej. Mam nadzieję, że przez tydzień wszystko załatwimy. Boję się, że po tym, co mu powiedziałam, nie zmrzył dotąd oka.

- Tak. Pewnie przydałoby mu się kilka ciepłych słów - powiedział cicho, zbliżając się do sali, w której leżał Rick.

Nuna na ich widok wstała i odsunęła się od łóżka.

- Dzień dobry, doktorze. Dzień dobry, pani doktor. Jest trochę niespokojny.

- Cześć, Rick, jak się czujesz? - Laurel usiadła przy nim.

- Boli mnie ta szyja jak diabli. Ale nie cały czas, tylko falami. Nie mogę zasnąć. - Spojrzał na nią, nie poruszając głową. - Ciągle się zastanawiam, jak to złapałem.

- Możesz przełykać ślinę i normalnie oddychać? - spytał Jarrad, sprawdzając opatrunek.

- Tak... Czuję, że mam zupełnie sztywną szyję, i ten ból...

- Dostaniesz zastrzyk, który uśmierzy ból i pomoże ci zasnąć. - Jarrad uściśnął dłoń Ricka i uśmiechnął się ciepło. - Odwiedzili cię wieczorem koledzy?

- Tak... Mam tu kilku dobrych kumpli. I zadzwoniłem do rodziny w Edmonton, żeby wiedzieli, że niedługo przylecę. Mam ich zawiadomić, jak tylko będę wiedział dokładnie, którym samolotem.

- Zarezerwujemy ci bilet, kiedy omówimy szczegóły z lekarzami ze szpitala - powiedział Jarrad, kiedy Laurel odeszła, żeby przygotować zastrzyk. - Postaraj się teraz nie martwić za bardzo przyszłością. Skoncentruj się tylko na tym, żeby wydobrzcć po zabiegu, który już miałeś.

- Dam mu pięćdziesiąt miligramów demerolu, to powinno pozwolić mu zasnąć - Laurel wyjaśniła Nunie. - Zwracaj uwagę na opuchliznę szyi, czy się nie powiększa, i sprawdzaj, czy normalnie oddycha. Widzę, że sprzęt intubacyjny na wszelki wypadek masz pod ręką. Bardzo dobrze.

Rozmawiając z Nuną, słyszała cichy, kojący głos Jarrada, który próbował dodać otuchy Rickowi. Była zadowolona, że tu z nią przyszedł.

- Zadzwon do nas - Jarrad instruował Nunę, kiedy Laurel robiła pacjentowi zastrzyk - gdybyś miała cień podejrzenia, że Rick ma trudności z oddychaniem. Nie spuszczaaj z niego oka i utrzymuj w półsiedzącej pozycji. Widzę, że ciśnienie jest w porządku. - Spojrzał na kartę choroby. - Mierz je od czasu do czasu, musimy mieć pewność, że nie krwawi. Może trzeba go będzie przytrzymać jeszcze z dzień albo dłużej. Zobaczymy, jak się będzie czuł jutro.

- Dobrze, panie doktorze.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi, kiedy przebrana w nocną koszulę i szlafrok wychodziła z łazienki. Zdrętwiała. Serce podskoczyło jej do gardła,

ale sama nie wiedziała, czy bardziej ze strachu, czy z podniecenia. Drżącymi palcami przekreśliła zamek i otworzyła drzwi.

Nie musiał nic mówić ani nawet robić znaczącej miny. Propozycja, którą wyczytała w jego rozpalonych oczach, była jednoznaczna: zaprosz mnie do swojego łóżka. Czowała, jak bardzo jej pragnie, nie ukrywał podniecenia, ale następny krok należał do niej. Wiedziała, że jeśli go nie zrobi, Jarrad wycofa się.

- Nie powiedziałem ci dobranoc - powiedział z czułością kochanka. - I chciałem ci wyznać, że spędziłem z tobą wspaniałą wieczór.

- A ja z tobą. To był... genialny pomysł. - Miała wrażenie, że Jarrad po raz pierwszy patrzy na nią jak na kobietę, a nie jak na koleżankę lekarza.

- Cieszę się...

Cisza, która nad nimi zawisła, wydała się Laurel nieskończonością.

Boże, daj mi siłę, nie pozwól, żebym zrobiła z siebie wariatkę, modliła się rozpaczliwie, nie mogąc oderwać oczu od jego odsłoniętego torsu.

- Co za okropna historia z tym Rickiem. Taki młody - wydusiła z siebie zmienionym głosem. - Ja... nie umiem się z tym pogodzić.

- Zdarzają się gorsze rzeczy - powiedział cicho, wyciągając w jej stronę rękę.

Dotknął jej policzka, potem delikatnym ruchem obrysował linię brody. Ciszę, która zapanowała w całym mieszkaniu, zakłócił nagle głośny, wstrzymywany długo oddech Laurel.

- Laurel, ty jesteś dziewczicą, prawda? - zapytał nieznacznie zdziwionym tonem. - Teraz dopiero zaczynam rozumieć. Kto by pomyślał... - Błądził palcami po jej nagiej szyi, aksamitnej skórze ramion, czując, jak cała drży.

- Czy to cię strasznie dziwi? - zapytała szeptem.

- Więc nie zaprzeczasz?

- Nie...

Czowała, że zamyka się przed nią droga odwrotu. Pragnęła go rozpaczliwie. Wiedziała, że jeśli on się nie wycofa, rozwiąże pasek jego szlafroka i sama będzie błagała, żeby ją kochał.

Przeżazona tą myślą, próbowała przypomnieć sobie powody ich wzajemnej niechęci. Oczami wyobraźni zobaczyła upokarzającą scenę z bufetu szpitalnego w Gresham. Kiedy jednak usiłowała skupić się na niej i wzbudzić w sobie dawną złość, nic z tego nie wychodziło. Tamta historia była już nierealna. Prawdziwy był tylko on - tu i teraz - ze swoją przystojną twarzą, ustami, które zapraszały do pocałunku, delikatnymi dłońmi, które budziły do miłości jej ciało.

Przestała się bać. Rozluźniona i uśmiechnięta uniosła głowę. Nie musiała czekać ani chwili.

Ich usta złączyły się w długim, gwałtownym pocałunku. Laurel poczuła, że uginają się pod nią kolana. Wsunęła ręce pod jego szlafrok. Jej palce błądziły po wypukłościach mięśni na plecach, paciorkach kręgosłupa. Odkryła nierówne bicie jego serca. Wargi Jarrada parzyły, przyprawiały o zawrót głowy, oszałamiały.

Nie protestowała, kiedy zsunął z jej ramion szlafrok. Mruczała zachęcająco, kiedy położył dłonie na jej piersiach, a potem zsunął je delikatnie na biodra.

- Och, Jarrad, Jarrad... - powtarzała jego imię kuszącym, niemal błagalnym głosem.

Opuszkami palców pogładził jedwabną tkaninę jej nocnej koszuli.

- Laurel, zdejmij to, proszę...

Laurel zastygła w pozie manekina i wtrzymała oddech. Ogarnęło ją przerażenie, okropne uczucie, że dzieje się coś, co już kiedyś się zdarzyło.

Te same, identyczne słowa padały z ust Maxa. Słyszała nawet dokładną intonację, z jaką je wypowiadał, tembr głosu... Zawsze taki sam.

Kiedy po raz ostatni chciał się z nią kochać, odepchnęła go. Podejrzewała, że ma inną dziewczynę, i nie myliła się. Wszystko już było stracone. Od dawna nic do siebie nie czuli. W każdym razie na pewno nic dobrego.

- Nie... nie! - Wyrwała się z objęć Jarrada, odpychając go brutalnie, jak gdyby naprawdę zobaczyła Maxa z jego charakterystycznym, protekcyjnym uśmiechem. - Nie, nie mogę... Przepraszam.

- Laurel, co się stało? Powiedz mi!

Miała wrażenie, że głos Jarrada dobiega do jej uszu z bardzo daleka. Cofnęła się w popłochu, opierając plecami o drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem.

- Po prostu nie mogę - powtórzyła, szukając jedną ręką klamki. - Przepraszam cię... Przepraszam.

Odrzuciła się i wpadła do pokoju, nie mogąc dłużej powstrzymać łez. Przekreśliła zamek i zaczęła cicho szlochać.

Max oszukał ją. Zabił w niej dziecięcą niewinność i zaufanie do ludzi. Być może raz na zawsze pogrzebał jej szanse na normalne życie, w którym byłoby miejsce na miłość. Przez kilka szalonych chwil wierzyła Jarradowi. Zdała się na instynkt, który już raz ją zawiódł. Ale niby dlaczego? Czym Jarrad Lucas miałby się różnić od innych mężczyzn?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie masz pojęcia, Bonnie, jak się cieszę, że wróciłaś! - powiedziała Laurel, kiedy o pierwszej po południu w piątek zrobiły przerwę na kawę. - Zresztą „cieszę się” to nie jest odpowiednie słowo... Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jak strasznie nam ciebie brakowało.

Laurel zdjęła buty i oparła zmęczone nogi na krześle. Joe Fletcher przyniósł im olbrzymi talerz kanapek.

- Myślę, że zdaję sobie sprawę - odparła Bonnie z uśmiechem. - Ostatnią rzeczą, której można by się we mnie doszukać, jest skromność! - Miała na sobie szyte na miarę blad różowe spodnie oraz luźną bluzę, która tuszowała nieco jej ogromną nadwagę. - Całe szczęście, że to był ostami zabieg. Muszę załatwić mnóstwo zaległych spraw.

- Ja też. Jeśli nie potrzebujesz na dzisiaj pikapa, to wezmę go na wizyty domowe. Muszę zajrzeć do dziewczyny, która była u nas z poronieniem, odwożę do domu Ricka Sommersa, a przy okazji zobaczę, w jakich on żyje warunkach. Zatrzymaliśmy go na dwie noce, bo trochę baliśmy się go wypuścić.

- Oczywiście, weź samochód, ja go nie potrzebuję.

- Od dawna mieszkasz w Chalmers Bay? - Laurel nie umiała poskromić ciekawości. - Przyznam ci się, że ja na samą myśl o spędzeniu tutaj zimy dostaję zimnych dreszczy.

- Szósty rok. Ale nie mogę narzekać, dyrekcja służby zdrowia zawsze idzie mi na rękę. Kiedy chcę wziąć urlop, przysyłają kogoś na zastępstwo. Zresztą od przyszedłego roku koniec z pracą na pełnym etacie. Chuck - to mój narzeczony - i ja zdecydowaliśmy się w końcu pobrać. Weźmiemy ślub w październiku, w Edmonton.

Nie przerwały rozmowy, kiedy Jarrad ze Skipem weszli do pokoju na kawę i kanapki.

- Czy to wyłącznie babska pogawędka - spytał ironicznie Jarrad, rzucając Laurel szybkie, przenikliwe spojrzenie - czy też możemy się przyłączyć?

- To zwyczajna pogawędka, mężczyźni nam nie przeszkadzają. Opowiadam anegdoty z mojej dawnej pracy. Ale komu w drogę, temu czas. Mam jeszcze mnóstwo roboty. Laurel, zadzwonisz potem do szpitala i zapytasz o stan pana Alletta? Wczoraj czuł się dobrze.

- Tak, zrobię to po południu.

Kiedy Bonnie i Skip wyszli z pokoju, Jarrad odłożył na bok gazetę, którą zasłaniał twarz, udając, że czyta. Laurel spojrzała na niego bez słowa. Napięcie między nimi rosło i zdawało się zbliżać do punktu krytycznego.

- Przyznasz, że atmosfera jest tak ciężka - odezwał się w końcu Jarrad - że trzeba by to jakoś rozładować.

- Przepraszam...

Nic innego nie umiała powiedzieć. Czuła się upokorzona i przygnębiona. Odżyły w niej koszmary z przeszłości, chociaż jeszcze wczoraj była pewna, że uwolniła się od nich na zawsze.

- Przestań mnie przeproszać. - Wstał raptownie, skrzyżował na piersiach ręce i oparł się o krawędź zlewu. - Nie ma w tym twojej winy. Jeżeli ktoś z nas powinno przeproszać, to raczej ja. Ale nie sądzę, żeby jakiegokolwiek przeprosiny czy wyrazy ubolewania miały sens. Nie żałuję... niczego, więc nie powiem ci teraz, że jest mi przykro. A ty, Laurel?

- Nie - powiedziała cicho, nie odrywając oczu od podłogi. - Nie żałuję. - Nawet gdyby odpowiedziała inaczej, wiedziałaby, że kłamie.

- Chciałabyś o tym porozmawiać? Może później? To nie jest odpowiednie miejsce.

- Nie... nie. Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Skąd mogła wiedzieć, czym by się taka spowiedź skończyła? Nie dojrzała do niej. Była roztrzęsiona, jak gdyby miała wejść na egzamin, do którego nie zdążyła się przygotować.

- Daj mi znać, kiedy zmienisz zdanie - powiedział oschłym tonem. - Tylko, na miłość boską, przestań czuć się winna. To byłby dobry początek.

Wyszedł, zostawiając ją z uczuciem kompletnej pustki. Max, a właściwie pamięć o Maksie, od początku stała między nią a Jarradem. Joshua Kapinsky również, choć w dużo mniejszym stopniu.

Prowadzenie starego, ciężkiego pikapa po wyboistej drodze, która służyła za główną ulicę Chalmers Bay, nie należało do przyjemności. Laurel doszła do tego wniosku nie po raz pierwszy.

Rick Sommers siedział obok niej, z podręczną torbą na kolanach. Na przyszyły wtorek miał zarezerwowany bilet do Edmonton. Anatomopatolog z tamtejszego szpitala potwierdził telefonicznie rozpoznanie choroby Hodgkina. Bonnie Mae zmieniła mu rano opatrunek, a Laurel sprawdziła, czy rana goi się jak należy.

- Wie pani... - zagadnął Rick - sam nie wiem... Nie jestem pewien, co będę czuł, wyjeżdżając stąd. Nie mogę wykluczyć, że wyjeżdżam na zawsze...

Rozmawiali o życiu w Chalmers Bay, dopóki nie zatrzymali się przed małym parterowym domem, który Rick dzielił z dwoma kolegami, pracującymi w tym samym co on przedsiębiorstwie wiertniczym. Jeden z mężczyzn czekał na ich przyjazd. Laurel stwierdziła z ulgą, że mieszkanie

jest wygodne i że ze spokojnym sumieniem może zostawić Ricka pod opieką przyjaciół.

- Mógłbyś zajrzeć do przychodni w niedzielę na zmianę opatrunku? Oczywiście, gdyby coś cię niepokoiło, dzwoń o każdej porze. W przyszłym tygodniu powinni cię przyjąć do szpitala w Edmonton, ale musimy jeszcze ustalić szczegóły. - Uśmiechnęła się i podała mu rękę na pożegnanie. - Trzymaj się, Rick.

- Dziękuję, pani doktor. Do zobaczenia w niedzielę. Przez kilka sekund widziała w jego oczach cierpienie

i bezsilność, ale kiedy odprowadzał ją do drzwi, był uśmiechnięty.

Zgodnie z planem, następną była wizyta u Lori Tuk. Razem ze swoim młodym mężem mieszkała w bardzo skromnym domu jej matki. Popijając herbatę, rozważali możliwość podróży Lori do miejskiego szpitala.

- Na pewno przez tydzień mogłabyś tam pobyc - przekonywała Laurel. - Służba zdrowia utrzymuje specjalny dom dla pacjentów, którzy przyjeżdżają na badania z daleka. Nocleg jest bezpłatny, musiałabyś tylko kupować jedzenie. Wszystko bym załatwiła; umówiła cię na konkretne wizyty i tak dalej.

- Myślałam o tym - odparła nieśmiało Lori. - Chciałabym to zrobić... może kiedyś, bo teraz nie mamy pieniędzy na bilet. Zresztą nie chciałabym lecieć sama. Nigdy jeszcze nie wyjeżdżałam z Chalmers Bay.

Rozmawiali dość długo, szukając rozwiązania wszystkich możliwych trudności. Stało na tym, że Lori, wspólnie z rodziną, przemyśli dokładnie propozycję Laurel, a kiedy się zdecyduje, trzeba będzie jej załatwić jakiś okazyny, tani przelot.

Wracając do samochodu, Laurel nie po raz pierwszy myślała o tym, jak bardzo różni się życie i praca w takim miejscu jak Chalmers Bay od życia w wielkich miastach. Tutaj ludzie niczego nie przyjmują na wiarę, nie karmią się złudzeniami. Jeżeli są czegoś naprawdę pewni, to tylko tego, że znowu spadnie śnieg. Zdawała sobie sprawę, że nie do niej należy podejmowanie za tych ludzi decyzji. Ona może im jedynie doradzić, uświadomić, jaka pomoc jest możliwa - i zaofiarować własną.

W następnej kolejności odwiedziła Josi Landers. Wyniki badań jeszcze nie nadeszły, ale mimo to Laurel postanowiła złożyć jej towarzyską wizytę, sprawdzając przy okazji, jak działają przepisane przez nią leki.

Wypiła jeszcze jedną mocną, słodzoną kawę z dodatkiem skondensowanego mleka z puszki. W czasie ich rozmowy wychudzona, zmęczona twarz Josi ożywiła się coraz bardziej.

- Jak to miło, że pani mnie odwiedziła. Bardzo lubię gości. Co nie znaczy, że cierpię na brak towarzystwa. Do nas wciąż ktoś wpada, głównie koledzy dzieci albo mojego męża. Rozmawiałam z nim o powrocie do miasta. Tłumaczył, że jeśli zostanie sam, będzie się o mnie jeszcze bardziej martwił, dlatego postara się zwinąć jak najszybciej tutejszy interes.

Z domu ostatniej pacjentki wyszła znacznie później, niż planowała. Wsiadając do samochodu, poczuła na rękę drobne krople deszczu.

Poza Chalmers Bay nie było żadnych dróg, nie było więc praktycznie i ruchu. W ciepłych miesiącach ludzie przemieszczali się na piechotę albo trójkołowymi motorowerami. Kiedy śnieg pokrywał ziemię - czyli przez większą część roku - używali pojazdów motorowych na płozach albo psich zaprzęgów.

- Nareszcie! - przywitała ją donośnym głosem Bonnie Mae. - Brakuje nam rąk do pracy! Doktor Lucas ze Skipem myją się do cesarskiego cięcia, a ja właśnie odebrałam telefon z Królewskiej Konnej. Jakiś lekki samolot rozbił się w tundrze, na jednym z lotnisk należących do kopalni.

- To znaczy - powiedziała opanowanym głosem Laurel - że mogę nie zdejmować kurtki.

- Proszę, żeby ktoś ze stacji medycznej pojechał z nimi na miejsce katastrofy. Za chwilę będzie tu policjant, który zawiezie jedno z nas na lotnisko. Cessna jest gotowa do odlotu. Chcesz tam lecieć, Laurel? Z tego, co mówili, ciężko rannych nie ma - najwyżej jakieś połamane nogi. Wystarczy ci chyba podstawowy zestaw wypadkowy.

- Jasne, że lecę. Czuję, jak mi rośnie poziom adrenaliny. I bardzo dobrze...

Usłyszały pisk hamujących opon.

- To na pewno Wayne Keeling! - zawołała Bonnie.

- Ten chłopak nigdy nie traci czasu. Proszę, walizka wypadkowa. Lepiej nie kazać im czekać.

Laurel poznała Wayne'a Keelinga oraz Grega Farleya, oficerów Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, w pierwszych dniach swojego pobytu w Chalmers Bay. Byli bardzo ważnym i stałym elementem tutejszego pejzażu.

- Laurel! - Głos Jarrada zatrzymał ją w ostatniej chwili. - Strasznie dużo czasu zajęły ci te wizyty, ale w końcu jesteś. Może teraz podzielimy się obowiązkami? - Jarrad mówił zirytowanym tonem, ręce miał uniesione do góry i kapąła z nich woda. - Może ty zrobisz cesarskie, a ja polecę do wypadku? Nie miałem pojęcia, kiedy wrócisz. Nic nie powiedziałaś.

- Nie zgadzam się. Ty zrób operację, do której się przygotowałeś. Badałeś kobietę, przeprowadziłeś z nią wywiad, a ja jej nawet nie widziałam. Zaoszczędzi to wszystkim czasu. Mam taką prostą zasadę, że nie operuję człowieka, póki nie przeczytam jego historii choroby, a podejrzewam, że sprawa jest pilna. Zresztą Wayne Keeling już tu jest. Ktoś musi z nim iść i to natychmiast.

- To robota dla mnie - powiedział lodowatym tonem.

- To jest zajęcie dla mężczyzny.

Bonnie Mae i Laurel wymieniły szybkie spojrzenia.

- Jeżdżę do wypadków od sześciu lat, doktorze Lucas - wtrąciła Bonnie. - Do niedawna nie mieliśmy tu żadnych lekarzy: ani kobiet, ani mężczyzn.

- To ja powinienem tam lecieć. - Jarrad nie dawał za wygraną. - Chodź mi o twoje bezpieczeństwo, na litość boską!

- W takim razie na pewno jadę! - Laurel spiorunowała go wzrokiem.

- Przepraszam - powiedziała Bonnie Mae i dyskretnie odeszła.

Laurel nie miała już wątpliwości. Z jakiegoś powodu Jarrad wyraźnie zmierzał do konfrontacji i czuła, że ten powód ma związek głównie z tym, co się wydarzyło między nimi poprzedniego wieczoru.

- Cesarskie cięcie trzeba zrobić natychmiast - zaczęła powtarzać wszystko od początku. - Ty jesteś umyty i przygotowany do zabiegu, a ja sobie poradzę przy wypadku. Bądź łaskaw zapamiętać, Jarrad, że jestem takim samym lekarzem jak ty, a nie mimozą!

- Zapomniałaś, kto tu jest szefem? - W tej chwili przemawiał Jarrad, jakiego pamiętała z Gresham: chłodny, podejrzliwy, nieprzyjazny, mający jej wszystko za złe.

- Zastanawiałam się właśnie, kiedy przejdiesz do rzeczy - mruknęła pod nosem, wystarczająco głośno, żeby usłyszał.

Przerwałam Wayne Keeling, który wkroczył energicznie do środka.

- Witam szanownych doktorów! - zawołał tubalnym głosem. - Doktor Hartę, jest pani gotowa? Zniosę ten kufer do samochodu. Pilot cenny czeka już tylko na nas.

Przyjemność lotu nad tundra zakłócało jej uczucie niesmaku po kłótni z Jarradem. Choćby dlatego, że po raz pierwszy świadkiem ich nieporozumienia była Bonnie Mae. ,

Oboje zdawali sobie sprawę, że trzymanie wspólnego frontu, zarówno wobec pacjentów, jak i średniego personelu medycznego, jest podstawowym wymogiem dobrej atmosfery w każdym szpitalu - nie mówiąc o pracy w wyjątkowo trudnych warunkach. Swoją drogą, nigdy by nie przypuszczała, że Jarrad jest zdolny do takiego zachowania.

- Tutaj! - krzyknął jej do ucha Wayne Keeling, pokazując coś palcem. Warkot silnika uniemożliwił im normalną rozmowę. - Kopalnia Carter Lake!

Pochyliwszy się do przodu, Laurel zauważyła w dole jakieś budynki, a między nimi jezioro - prawdopodobnie

Carter Lake. Kiedy stopniowo zaczęli tracić wysokość, dostrzegła lotnisko, na którym zdarzył się wypadek. Rozbity samolot wyglądał z daleka jak zabawka. Obydwa skrzydła wydawały się nienaruszone.

Okrzyżyli kopalnię dwa razy, lecąc coraz niżej, aż w końcu wylądowali twardo, na wyboistym obrzeżu lotniska, starając się osiąść jak najdalej od miejsca kraksy.

Laurel z Wayne'em Keelingiem ruszyli do miejsca wypadku. Zobaczyli dwóch leżących na ziemi mężczyzn i kilku otaczających ich gapiów. Silny wiatr z tundry atakował nozdrza wilgotnym, słodkim powietrzem. Prawdopodobnie z powodu tego wiatru pilot rozbitej maszyny popełnił jakiś błąd.

Wyobraziła sobie nagle scenę tragedii, której nie przeżył Max. Od dawna jej się to nie zdarzało. Skuliła się odruchowo i na ułamek sekundy zamknęła oczy.

Jechał sam, zginął w zimną, wilgotną noc. Przez miesiąc po jego śmierci Laurel nie była w stanie oglądać wypadków nawet w telewizji. Wciąż miała przed oczami leżącego na drodze Maxa. Była przerażona swoim stanem. I czuła się winna, że jej przy nim nie było.

- Cześć, Wayne! - przywitał go jeden z mężczyzn, którzy wyszli im na spotkanie.

- Cześć! Jak żyjecie? To jest doktor Hartę, przyleciała opatrzeć rany waszym chłopakom.

Laurel podała wszystkim po kolei rękę na powitanie. Kiedy zeszła z utwardzonej drogi, zapadła się po kostki w błoto. Czuła na sobie taksujące spojrzenia idących za nią mężczyzn. Dwaj ranni leżeli na plastikowych płachtach, przykryci kocami.

- Jakie mają obrażenia? - spytała, stawiając na brzegu folii walizkę.

- W samolocie był tylko jeden facet, Doug - wyjaśnił mężczyzna, który był sztygarem w kopalni. - Wyleciał z pasa startowego. Z tego, co sam się mogę domyślać, ma złamane oba podudzia w stawach skokowych i lewą rękę. Prawy obojczyk złamany z przemieszczeniem. Może mieć też kilka połamanych żeber i dlatego woleliśmy go nie ruszać. Poza tym powierzchowne skaleczenia i stłuczenia.

- Rozumiem. - Laurel uklękała przy rannym i odchyliła koc.

- Ten drugi, John, to jeden z naszych, górnik. Pomagał pilotowi wydostać się z kabiny. Włożył rękę między drzwi, a one zatrzasnęły się i ścięły mu dwa palce. Strasznie cierpi. Pierwszy też. Zrobiliśmy dla nich wszystko, co mogliśmy.

Mówił w sposób opanowany i przekonujący, ze spokojem człowieka, który oglądał w swoim życiu niejedną wypadek i był oswojony z różnymi ludzkimi nieszczęściami.

- Ma pan te palce? - Laurel otworzyła walizkę, jedną ręką przytrzymując targane coraz silniejszym wiatrem włosy.

- Tak, zawinęliśmy je w czystą, bawełnianą chusteczkę.

- Świetnie. Zmierzę im ciśnienie, żeby wiedzieć, czy bardzo nie krwawią, a potem zrobię zastrzyki z morfiny. Dougowi trzeba będzie założyć kilka szyn, i obu przenieść na nosze.

Kiedy zbadala rannych, odetchnęła z ulgą.

- Nie jest tragicznie, przynajmniej na razie. Obaj mają obniżone ciśnienie, ale to raczej z powodu szoku. Najważniejsze, że się nie wykrwawili.

Dopiero po znieczuleniu obu mężczyzn morfiną unieruchomiła kończyny Douga szynami.

- Gdzie są palce? - zapytała sztygara. - Może jest jeszcze szansa, żeby je uratować i przyszyć? Jeśli się pospieszymy...

Mężczyzna wręczył jej bez słowa zawiniątko. Starając się nie przyglądać im z bliska, Laurel włożyła palce do pojemnika z solą fizjologiczną i pokreśliła nim kilka razy, żeby obmyć je z brudu.

Jeżeli było coś, przy czym - mimo studiów i praktyki lekarskiej - robiło jej się niedobrze, to właśnie przy obciętych palcach i zmiądzonych kończynach. Ratowanie ich na sali operacyjnej sprawiało jej satysfakcję. Jednak operowanie w idealnie czystym szpitalnym otoczeniu, a działanie na miejscu wypadku to zupełnie co innego.

- Muszę włożyć sterylne rękawiczki, żeby przełożyć je do pojemnika z płynem krwiozastępczym - tłumaczyła górnikom, którzy śledzili każdy jej ruch w skupionym, choć nie pozbawionym lekkiej grozy milczeniu.

Nie poruszyli się, kiedy włożyła naczynie do pojemnika izotermicznego i obłożyła je suchym lodem. Ucięte kończyny powinny być przechowywane do czasu operacji w niskiej temperaturze, ale nie zamrażać.

- Możemy zakładać szyny, pani doktor? - przerwał milczenie Wayne Keeling, przekonany najwyraźniej, że obaj ranni są już właściwie znieczuleni.

- Tak. - Laurel wstała z klęczek i zwróciła się do sztygara: - Czy mógłby pan przesłać ode mnie wiadomość do stacji medycznej? Proszę im opowiedzieć dokładnie, jakie mamy obrażenia. Niech Bonnie Mae przygotuje mikroskop operacyjny - będę próbowała przyszyć te palce, oczywiście z pomocą doktora Lucasa.

- Dobrze, już się robi.

- Czy nie będzie kłopotu z umieszczeniem pięciu osób w cessenie? - spytała Wayne'a.

- Nie. Ćwiczyliśmy to wiele razy.

Kilka godzin później Laurel, pochylona nad mikroskopem, wykonywała ostatnie czynności operacyjne. Wspólnie z Jarradem, mimo że nie byli specjalistami od mikro-chirurgii, zdecydowali się przyszyć rannemu górnikowi oba palce. W absolutnej ciszy i skupieniu łączyli nerwy i małe naczynia krwionośne, posługując się nimi cieńszymi od ludzkiego włosa.

Siedzieli naprzeciwko siebie, dotykając się prawie kolanami. Dzielił ich stół operacyjny i ustawiony na nim wielki mikroskop, z dwoma niezależnymi binokularami. Uszkodzona ręka leżała na małym oddzielnym stoliku. To, czy zabieg się udał, czy palce „przyjmą się” i odżyją, miało się okazać po pewnym czasie.

Wcześniej zajęli się złamaniami pilota. Kiedy dotarli karetką policyjną do stacji, wszystko było gotowe. Ani Laurel, ani Jarrad nie mieli oczywiście czasu na jakiegokolwiek rozmowy czy choćby aluzje do swoich spraw prywatnych.

Obaj ranni mieli zostać w stacji przez noc, a rano, w asyście Skipa, odlecieć do szpitala.

Był już środek nocy, kiedy Laurel dotarła do swojego pokoju i z ulgą zatrzasnęła za sobą drzwi. Była wyczerpana. Na zwykłe zmęczenie nakładła się dokuczliwa świadomość, że między nią a Jarradem wszystko się popsuło. Kiedy skończyli pracę, wydawał się chłodny i nieprzystępny.

Łącznie z kobietą po cesarskim cięciu, mieli teraz troje hospitalizowanych pacjentów. Nuna, która zgodziła się na nocny dużur, miała doglądać ich wszystkich, nie wyłączając noworodka.

Laurel rozebrała się szybko, włożyła szlafrok i postanowiła położyć się jak najszybciej spać. Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, otworzyła je niechętnie, spodziewając się, że to Jarrad.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział. Był blady, nie mniej wyczerpany od niej.

- Nie możesz z tym poczekać do jutra? Jestem wykończona.

- Ja też. - Wszedł do środka, nie czekając na pozwolenie, i zamknął drzwi. - Nie, nie mogę poczekać. Muszę to z siebie wyrzucić. Teraz.

Zapadła martwa cisza. Kiedy Laurel wycofała się na środek pokoju, Jarrad ruszył za nią z najbardziej posępną miną, jaką kiedykolwiek u niego widziała.

- Nie podziękuję ci za to, że sprzeciwiłaś się mojej decyzji w obecności Bonnie Mae. Podważyłaś mój autorytet. Postawiłaś mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. - Starał się mówić spokojnie, ale jego oczy płonęły gniewem.

- Ja... Ja myślę, że to ty mnie postawiłeś w niezręcznej sytuacji. To ty podważyłeś moją decyzję. I dalej uważam, że miałam rację. Nie było czasu na długie dyskusje.

- Jeżeli coś takiego jeszcze raz się powtórzy - ciągnął, jakby nie zauważył, że Laurel mu odpowiedziała - będę zmuszony powiadomić o tym dyrekcję i poprosić o zmianę współpracownika. Albo sam się stąd wyniosę; zależy tylko, czy będę miał po dziurki w nosie jedynie ciebie, czy też całego tego cholernego miejsca!

Nie do końca wierząc własnym uszom, Laurel otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć z siebie normalnego głosu.

- Jeśli się coś zaczyna... - wybąkała wreszcie - to trzeba to skończyć. Chyba że jest jakaś poważna przeszkoda. Posłuchaj, oboje jesteśmy zmęczeni...

- Nie pozwolę, żebyś odstawiała mi takie numery przy personelu - wycodził jadowicie.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Jakie numery? - spytała cicho, modląc się, żeby wyszedł, zanim się rozplacze.

- Tylko nie to! - syknął. - Daruj sobie te łzy. Zauważyłem, że w efektach specjalnych jesteś nie do pobicia!

- Zdaje się, że powiedziałeś już wszystko - oznajmiła, patrząc w podłogę. - Wyrzucanie z siebie złości w taki właśnie sposób weszło ci w krew. Dlaczego nie możemy zachowywać się przyzwoicie wobec siebie? Dlaczego musiałeś pokazać, kto tu rządzi? Przecież szło nam zupełnie dobrze.

- Niczego nie pokazywałem, wbij to sobie do głowy! Próbuję tak zorganizować pracę, żeby była maksymalnie skuteczna i nie zagrażała naszemu bezpieczeństwu. Tak, bezpieczeństwu! Może powiesz, że nie przyszło ci to do głowy?

- Masz na myśli moje bezpieczeństwo? A ja ci zwróciłam uwagę na bezpieczeństwo pacjentki, tamtej kobiety. Poza tym, ile razy leciałeś lekkim samolotem nad tundrą?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Oczywiście, pewnie, że nie ma. - Jeżeli to, co wyprawiasz. .. - oddychała głęboko, czując, że zbliża się do kresu wytrzymałości i że natychmiast musi zakończyć tę scenę - jeżeli ma to jakiś związek z tym, co... zdarzyło się między nami wczoraj wieczorem, to myślę, że nie powinienes się na mnie wyżywać w ten sposób.

Jego usta wykrzywił drwiący uśmiech.

- Nie jestem aż tak napalony i niewyżyty, jeżeli to chciałaś powiedzieć.

- Wyjdź z mojego pokoju. Wynoś się! - Zrobiła gwałtowny krok do przodu, podniosła rękę, żeby go uderzyć, ale wykonała jakiś niezborny gest na oślep, niezbyt świadoma tego, co robi. Poczula tylko, że chwycił ją za nadgarstek i brutalnie przyciągnął. Jakże inaczej niż wczoraj, pomyślała z goryczą i uniosła głowę. Łzy zasłaniały jej oczy, ale było jej wszystko jedno.

- Z przyjemnością - warknął i uwolnił jej rękę. - To sprawy czysto zawodowe, Laurel. - Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami. - Nie zapomnij, co ci powiedziałem.

Została sama i nie musiała już hamować łez. Nie dalej jak wczoraj chciał się z nią kochać... Pragnął jej od dawna, jeszcze w Gresham, ale pewne rzeczy wyjaśniły się dopiero w Chalmers Bay. Od wczorajszej nocy wiedziała, że to jest także jej problem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

John, któremu Laurel z Jarradem przyszyli odcięte palce, odleciał rano do Edmonton. Jeden z jego kolegów postanowił mu towarzyszyć, więc Skip odwiózł ich tylko na lotnisko.

Palce wyglądały dobrze, w każdym razie wszystko wskazywało na to, że ciągłość naczyń została zrekonstruowana i że nie dojdzie do martwicy.

- Nie jestem pewien, czy prawidłowo zszyliśmy mu nerwy - powiedział Jarrad. - Na wszelki wypadek jak najszybciej powinien się nim zająć specjalista od mikrochirurgii ręki. Szkoda by było, gdyby chłopak miał te palce bezużyteczne.

Na szczęście znali takiego człowieka w Edmonton. Napisali do niego list polecający, który zabrał ze sobą John, i zadzwonili do szpitala, żeby sprawdzić, czy przypadkiem lekarz ten nie wybrał się na urlop i żeby uprzedzić oddział, że pacjent jest w drodze.

Drugiego poszkodowanego, Douga Raynera, postanowili zatrzymać na kilka dni, a potem odesłać do rodziny, ze skierowaniem do miejscowego szpitala. Rzeczywiście, tak jak przypuszczał szttygar z kopalni, pilot miał złamane dwa żebra. Również z tego powodu musiał być pod ścisłą kontrolą lekarską.

Niestety, zawsze w podobnym przypadku istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli pacjent będzie wykonywał niewłaściwe ruchy, złamane końce żeber uszkodzą płuca.

Tego samego ranka, kiedy Rick Sommers miał opuścić - być może na zawsze - Chalmers Bay, Joe Fletcher odebrał z poczty przesyłkę ze szpitala w Edmonton.

- Są wyniki z laboratorium. - Bonnie Mae przywitała Laurel ważną informacją.

- Dziękuję, Bonnie. Rick Sommers przyjedzie dzisiaj na ostatnie badanie przed wyjazdem do szpitala. Mam nadzieję, że jego wyniki też przysłali.

- Tak, są na pewno. Czy mam Rickowi zmienić opatrunek przed wyjazdem?

- Tak, bardzo proszę, Bonnie.

Nadmiar pracy przy coraz większym zmęczeniu to najlepsze lekarstwo na koncentrację, pomyślała z goryczą Laurel. Człowiek nie ma siły myśleć o głupotach... „Głupotami” nazywała oczywiście swoje uporczywe rozpamiętywanie wszystkiego, co się wydarzyło między nią a Jarradem.

Przycisnęła palcami powieki, usiłując złagodzić ból głowy, który zawdzięczała zarówno chronicznemu niewyspaniu, jak i wczorajszym przykrościom.

- Cześć. Zdaje się, że słyszałem, jak wstawałaś o jakiejś nieprzyzwoicie wczesnej godzinie. - Jarrad wkroczył do gabinetu z nienaturalnym impetem.

Wiedziała, że będzie zachowywał się uprzejmie i obojętnie, tak jak zawsze zachowuje się w pracy. Tylko jego oczy zdradzały lekkie zmieszanie i niepewność. Zdziwiająca, pomyślała, jak szybko ludzie mogą zmieniać się wobec siebie...

- Cześć.

- Jaki jest ostateczny werdykt w sprawie Ricka Sommersa?

- Zaraz zobaczę... Niestety, dokładnie to, co podejrzewaliśmy, i o czym uprzedzili nas telefonicznie: choroba Hodgkina - oznajmiła i z westchnieniem wręczyła mu protokół badania anatomopatologicznego.

- Na szczęście - powiedział, nie odrywając oczu od kartki - jest to dość wczesne stadium choroby, tak jak sądziliśmy. Jeśli radioterapia poskutkuje, Rick może się z tego wygrzebać.

- Tak... To są wyniki morfologii: wyraźna anemia. I jeszcze coś... Josi Landers bez wątpienia ma tocznia - powiedziała wolno.

Patrzyła na Jarrada, czytającego dokładnie każdy wynik, poważnego i skupionego. Lubiła go za to. Kiedy pracował, wydawało się, że nic innego dla niego nie istnieje, żadne sprawy prywatne. Przyglądając mu się w takiej chwili, z trudem mogła uwierzyć, że była w jego ramionach, że się całowali, a już wczorajsza awantura zdawała się po prostu niemożliwa. Czy Jarrad myśli o niej podobnie?

- Hmm... - Odłożył wyniki, zatrzymując wzrok na jej bladej twarzy. - Powiedziałaś Rickowi prawdę?

- Tak, ale muszę wrócić do tej rozmowy. Dzisiaj, zanim Rick stąd wyjedzie. Zastanawiam się, co dokładnie powinnam mu powiedzieć. Wiadomo, jaką przejdzie kurację, więc chyba na tym trzeba się skupić...

- Naświetlania w połączeniu z chemioterapią. Niestety, jednym z efektów ubocznych takiego leczenia może być bezpłodność.

- Czy on wie o tym?

- Nie poruszałem tego tematu, ale w końcu trzeba będzie to zrobić. Mógłby przechować nasienie w banku spermy. Chcesz, żebym z nim porozmawiał? - spytał rzeczowo.

- Tak. Gdybyś mógł.

- Dobrze. Kiedy Rick się pojawi, zajmiemy się nim oboje.

Rick wysłuchał spokojnie wszystkiego, co miała do powiedzenia Laurel, a przynajmniej tak jej się zdawało. Mówiła powoli, ostrożnie dobierając słowa, starając się wykluczyć wszelkie nieporozumienia. Zdarza się, że pacjent pod wpływem silnego stresu zamyka się i w gruncie rzeczy nie słyszy tego, co mówi do niego lekarz.

- A więc głowa do góry, Rick. W twoim przypadku wyleczenie jest możliwe. Niestety, są pewne uboczne skutki kuracji, ale o tym porozmawia z tobą doktor Lucas.

- Ciągle się zastanawiam, jak ja to złapałem - powiedział Rick, kiedy Laurel zamilkła.

- Tłumaczyłam ci, Rick, że to nie twoja wina. Nic takiego nie zrobiłeś. Prawdopodobnie tę chorobę wywołuje jakiś wirus...

Rick zaczął mówić o swoich lękach, a ona cierpliwie słuchała, nie ponaglając go ani też nie uspokajając. Zdawała sobie sprawę, że w mieście, w wielkim szpitalu, gdzie wszyscy ścigają się z czasem, prawdopodobnie nie znajdzie się nikt, kto mógłby go wysłuchać i poświęcić mu tyle uwagi, ile potrzebuje.

- Czy będziesz z nami w kontakcie, Rick? Chciałabym dostawać od ciebie regularne wiadomości, wiedzieć, jak się czujesz, jakie masz zabiegi. Pod koniec lata będę w Edmonton i na pewno do ciebie wpadnę. Swoją drogą będę dzwoniła do tamtejszych lekarzy i sama ich wypytywała. A więc umowa stoi?

- Jasne, że będę się odzywał - zapewnił gorliwie Rick.

- Teraz przekażę cię doktorowi Lucasowi - wstała z uśmiechem - a potem Bonnie Mae zmieni ci opatrunek. Pilnuj, żeby rana była zawsze sucha, dopóki zupełnie się nie wygoi.

- Dobrze, pani doktor. Bardzo dziękuję.

- Jak poszło? - usłyszała głos Jarrada, kiedy z załzawionymi oczami nalewała sobie kawy w głównym gabinecie przychodni.

Zaskoczona, podniosła szybko głowę i zamrugła powiekami.

- Czy ja wiem? Chyba nieźle. To dziwne uczucie... Robimy coś, potem jak najszybciej pozbywamy się pacjentów, i tak na okrągło. Chociaż... może w mieście jest to samo? W normalnym szpitalu też leczymy ludzi, których możemy już nigdy w życiu nie spotkać.

Kiedy zerknęła na niego kątem oka, nie miała wątpliwości, że zauważył wilgoć w jej oczach.

- Masz rację, ale w dużych szpitalach są wszystkie możliwe oddziały i takich pacjentów jak Rick nie musimy tracić z oczu.

Gdy Jarrad podszedł do niej bliżej, poczuła bijące od niego ciepło - i niepokój. Może chciał ją przeprosić, ale Laurel nie była w odpowiednim nastroju, żeby mu cokolwiek ułatwiać.

- W każdym razie jest w moim gabinecie i czeka na ciebie.

- Dobrze. Pójdę do niego za kilka minut... Aha, odebrałem wczoraj telefon z kopalni złota Black Lake. Proszą, żeby jedno z nas poleciało do nich i przeprowadziło badania okresowe. Może ja to zrobię - dodał miękko - chyba że masz szczególną ochotę na taką wycieczkę.

- Pojedziesz ty, oczywiście. Zdecydowałeś kiedy?

- Może w przyszłym tygodniu. W każdym razie nie wcześniej niż Doug Rayner będzie nadawał się do transportu. Zajmie mi to pełny dzień pracy plus dwa razy po pół dnia na podróż w jedną i drugą stronę. Czyli spędzę tam dwie noce i jeden dzień.

- Nie ma sprawy - powiedziała zaczepnym tonem. - Rozczaruję cię, Jarrad. Nie pokłócimy się dzisiaj, jeśli tego się spodziewałeś. To zupełnie inna sytuacja.

Do pokoju weszła Bonnie Mae, udaremniając im dalszą rozmowę. Jarrad wyszedł bez słowa.

Dzień przyjęć był gorący jak zwykle. Laurel nie miała potrzeby konsultować się z Jarradem w żadnej sprawie. Upływała godzina za godziną, praca uspokajała ją do tego stopnia, że kiedy przed wieczorem z przychodni wyszedł ostatni pacjent, nie była pewna, czy się z tego cieszy.

Wracając do mieszkania, marzyła o mocnej herbacie i kanapkach, które zrobi im Joe Fletcher. Może upiekł jakieś ciasto? W swoim pokoju umyła ręce i twarz, a potem, kiedy zobaczyła w lustrze, że jest blada jak ściana, zdobyła się nawet na makijaż. Na zdjęcie lekarskiego mundurka zabrakło jej siły. Poszła do kuchni, żeby nastawić wodę.

W ustach miała olbrzymi kęs kanapki z wędzonym łososiem, a w rękę filiżankę parującej herbaty, kiedy ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Otworzyła je, pospiesznie przelękając jedzenie, i omal się nie zakrzuszyła. W progu stała młoda, piękna kobieta w mundurze stewardesy, bardzo opalona, z olśniewającym uśmiechem, który odsłaniał białe zęby.

- Cześć! Szukam doktora Lucasa... Jarrada. Jestem jego starą przyjaciółką. Wpadłam tu... przelotem. - Roześmiała się dźwięcznie. - Mam mało czasu, odlatujemy za jakąś godzinę. Znajdę go gdzieś?

- Tak, zadzwonię po niego do przychodni. Proszę wejść.

- Wielkie dzięki! Mam na imię Ginny. I proszę mu powiedzieć, że wpadłam na przelotne spotkanie. Padnie, jak mnie zobaczy! - W tej właśnie chwili Laurel rozpoznała głos dziewczyny, która często do Jarrada

dzwoniła. - Zwykle nie latam na tej trasie. Udało mi się załatwić jednorazową podmiankę. - Rozejrzała się po pokoju krytycznym wzrokiem. - O rany, co za buda!

- Pozwoli pani, że ja też się przedstawię. Laurel Hartę.

- Ach, tak, wspominał o pani. - Dziewczyna utkwiała w Laurel swoje piękne, zielone oczy - nieco rozbiegane, oprawione w długie, ciężkie od tuszu rzęsy. Kolor pomadki na pełnych, nabrzmiąłych wargach miał taki sam odcień jak lakier na paznokciach. - Myślałam, że jest pani trochę starsza, sądząc z tego, jak panią opisywał i w ogóle... - Wybuchnęła krótkim, wibrującym śmiechem.

- Zadzwońię do Jarrada. Jeżeli ma pani ochotę na herbatę, proszę się obsłużyć. Jest w dzbanku.

Telefon odebrała Bonnie Mae.

- O rany, już mu mówię! Może tego właśnie potrzebuje. Od samego rana jest w nieznośnym nastroju! Lepiej stamtąd znikaj, Laurel, żeby ta dziewczyna mogła się nim czule zaopiekować. Nam wszystkim wyjdzie to na zdrowie. Zresztą jadą do nas dwie rodzące kobiety i będę cię potrzebowała. Niewykluczone, że doktora Lucasa również. Nie wiedziałaś? Do porodu zawsze przyjeżdżają parami. Może to siła sugestii, czy ja wiem?

- Będzie tu za chwilę - powiedziała Laurel, odkładając słuchawkę. Nie spojrzała na Ginny. Słowa Bonnie Mae odebrały jej resztki spokoju. Wycofała się do kuchni, żeby dokończyć kolację i nie oglądać sceny czulego powitania kochanków.

- Cuudoownie! - westchnęła głośno Ginny.

Kiedy Jarrad wszedł do salonu, Laurel widziała ich oboje przez otwarte drzwi kuchni. Chciała się odwrócić, ale coś ją powstrzymało.

Ginny rzuciła mu się na szyję.

- Jarrad, misiu! Niespodzianka!

- Ginny! Do licha, co ty robisz w takiej dziurze jak Chalmers Bay? - zapytał wesoło, otaczając ją ramionami. Nagle podniósł głowę, jakby poczuł na sobie wzrok Laurel.

Patrzyła na nich nieruchomym wzrokiem, pochłaniając z determinacją kolejną kanapkę. Radosna twarz Jarrada była wystarczającym dowodem na to, że Bonnie miała rację. Oddychając nierówno, Laurel popiła ostatni kęs herbatą i ruszyła do wyjścia. Uczucie zazdrości dławilo ją w gardle i starała się opanować. Trudno, powtarzała sobie, zaciskając palce w pięści. Otwierała już drzwi, kiedy widok tamtej dziewczyny w ramionach Jarrada stał się nie do zniesienia.

- Niedługo będziemy mieli dwa porody do odebrania - powiedziała krótko. - Spodziewam się, że wrócisz za jakieś dwadzieścia minut... misiu!

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jakie wrażenie zrobiła na tobie Ginny? - spytał Jarrad późnym wieczorem, kiedy w milczeniu pili herbatę. Wspólnie odebrali dwa porody i razem wrócili do mieszkania. Prędzej czy później jedno z nich musiało się odezwać, ponieważ skuteczne unikanie się na dłuższą metę było niemożliwe.

Jarrad uśmiechnął się mgliście, jak gdyby wspomnienie o Ginny sprawiło mu ogromną przyjemność.

- To siostra mojej starej znajomej. Pracuje w liniach lotniczych Whitelands i jakimś cudem załatwiła sobie kilka rejsów na północ.

- No więc, ona jest... nie wiem. Dlaczego mnie pytasz? Prawie z nią nie rozmawiałam. Nie była zainteresowana moją osobą, zdziwiła się tylko, że nie jestem aż tak stara, jakby to wynikało z twojego opisu. Ale nie powiedziała tego, broń Boże, po to, żeby sprawić mi przyjemność.

- Naprawdę tak chlapnęła? - Jarrad wciąż się uśmiechał. - Prawdę mówiąc, poczucie taktu nie jest najmocniejszą stroną Ginny. Ani bystrość.

- Tak też sobie pomyślałam - odparła obojętnym tonem. - Zdecydowanie nie pasuje do twojego ideału mamuśki. - Dopiła herbatę i wstała.

- O nie, Ginny ma zupełnie inne talenty. Możliwe, że jej opowiadałem, jakim jesteś znakomitym chirurgiem, a ona wywnioskowała z tego, że musisz być stara.

- O tak, jakbym to słyszała! - powiedziała z bezlitosną drwiną w głosie. - Dobranoc.

- Laurel, zaczekaj chwilkę. Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

- Ani słowa więcej, bardzo cię proszę. Dobranoc.

Josi Landers wpadła do przychodni pod koniec tygodnia, żeby dowiedzieć się, czy wyniki badań laboratoryjnych potwierdziły wstępne rozpoznanie.

- Czuję się o wiele lepiej, panie doktorze - zwróciła się najpierw do Jarrada. - Tabletki antydepresyjne chyba zaczynają działać. W każdym razie jest mi trochę lżej. I to drugie lekarstwo, na nocne poty, też pomaga. - Josi usiadła przy biurku Laurel i uśmiechnęła się. Znalezienie przyczyny dolegliwości - samo nazwanie choroby - poprawiło jej nastrój, mimo iż zdawała sobie sprawę, że nie ma na nią lekarstwa.

- Plamy na policzkach masz w tej chwili zdecydowanie słabsze - zauważyła Laurel. - Używasz maści, którą ci przepisałam?

- Tak, i nie boję się już tak bardzo patrzeć w lustro. Przedtem omijałam je z daleka.

- Będiesz miała okresy remisji, w których twoje samopoczucie będzie całkiem dobre, tak jak w stwardnieniu rozsianym. Czy zdecydowaliście już z mężem, kiedy wracacie? - zapytał łagodnie Jarrad.

Żeby i dla mnie był taki miły, pomyślała Laurel ze smutkiem.

Może gdybyś mu na to pozwoliła, byłby miłszy, odpowiedział jej przewrotnie wewnętrzny głos.

- Decyzję, czy wyjadę już wkrótce, bez niego, pozostawił mnie - odparła Josi. - Wolałby oczywiście, żebym trochę poczekała, wiem o tym, ale on spróbuje pozalatać wszystkie sprawy i zwinąć interes najszybciej jak to możliwe. Ale jeśli poczuje się gorzej, uciekam stąd tak czy owak.

W następną środę pożegnali się z Dougiem Raynerem, który wymagał konsultacji chirurga ortopedy. W przyszłości czekały go zabiegi fizykoterapeutyczne, ale z prześwietleń wykonanych tuż przed odjazdem wynikało, że gojenie złamań przebiega prawidłowo.

Tego samego dnia po południu Jarrad miał polecieć do kopalni Black Lake. Powrót przewidywał na piątek.

- Dzwon do mnie, gdybyś miała jakiegokolwiek kłopoty - zwrócił się do Laurel w czasie lunchu, tuż przed wyjazdem. - W sytuacji awaryjnej mogę wrócić w każdej chwili. Nie wiem dokładnie, jak długo się leci do tej kopalni, ale to pewnie zależy od typu samolotu.

- Dobrze, zadzwonię, jak będę potrzebowała twojej rady albo będę miała za dużo pracy - odpowiedziała równie obojętnym, rzeczowym tonem.

Późnym popołudniem, kiedy Jarrad odleciał, Laurel postanowiła skorzystać z pikapa, żeby odwiedzić Lori Tuk oraz dwie młode matki z noworodkami, które wróciły do domu następnego dnia po porodzie.

Po skończonych wizytach zawróciła niespodziewanie w kierunku otwartej przestrzeni tundry, poza teren lotniska. Kiedy główna, utwardzona droga urwała się, jechała przez pewien czas grząskim, wyboistym traktem, aż dotarła do całkowitego bezdroża. Roztaczał się przed nią typowy krajobraz arktycznego lata. Ziemię pokrywały rachityczne trawy i mchy, a największym urozmaiceniem pejzażu były kępki karłowatej wierzby.

Kiedy wysiadła z samochodu, poczuła się jak na innej planecie. Błogosławioną, magiczną ciszę zakłócał jedynie monotony szum wiatru. Z oddali, znad Zatoki Koronacji, dobiegł krótki dźwięk syreny okrętowej. Wyobraziła sobie wielkie, pływające bryły lodu, które na tych wodach nigdy do końca nie topniały.

Spędziła tam prawie godzinę. Leżąc na płaskiej, wygładzonej skale upajała się beczczynnością, aż w końcu zapadła w drzemkę. Pager, za

pomocą którego Bonnie Mae mogła ją wezwać w razie potrzeby, nie odezwał się.

W drodze powrotnej wpadła na pocztę, żeby odebrać korespondencję. Ucieszyła się z kilku listów od rodziny i, jak zwykle, z mieszanymi uczuciami przyglądała się kopercie adresowanej ręką Joshui Kapinsky'ego. Do lektury zabrała się dopiero w swoim pokoju, zaczynając od listu Joshui. Ponawiał swoje oświadczenia, ale zdecydowany ton jego propozycji sugerował, że pozostaje im tylko ustalić datę ślubu, a nie to, czy w ogóle do niego dojdzie.

Następnego dnia brakowało jej Jarrada w pracy, ale w domu poczucie większej przestrzeni życiowej dobrze jej zrobiło - odprężyła się i przypomniała sobie o dobrych stronach samotności.

- Laurel... - Bonnie Mae zajrzała do jej gabinetu, kiedy wyszedł kolejny pacjent. - Mamy kobietę z pięciomiesięcznym niemowlęciem, które wygląda na bardzo chore.

- Co mu jest?

- Na oko infekcja górnych dróg oddechowych; kaszle od trzech dni. Matka nie mierzyła mu nawet temperatury. W nocy zaczęło wymiotować. - Bonnie weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. - Obejrzałam to dziecko. Ma wybroczyny na skórze, silną gorączkę i pewne objawy neurologiczne. Nie podoba mi się to. Jego rodzice są bardzo młodzi, nie mają żadnego doświadczenia. Znam ich dobrze, dziecko też.

- O, Boże... - Laurel zerwała się z krzesła. - Mam nadzieję, że nie będzie z tego epidemii. Chodźmy.

- Mieliśmy tu już zapalenie opon, kilka razy. Nic wesołego, możesz mi wierzyć.

- Wyobrażam sobie!

- Ostatnim razem troje dzieci było jedną nogą na tamtym świecie. Wyglądało na to, że nie ma ratunku, ale jakimś cudem wyżyły. Dwoje wyszło z tego bez szwanku, jedno z minimalnym uszkodzeniem mózgu.

Młoda Eskimoska stała w milczeniu, kiedy Laurel badała jej dziecko. Niemowlę zapadało w śpiączkę, budziło się z płaczem i znów zasypiało. Widać było, że każdy dotyk czy poruszenie sprawia mu ból.

Laurel starała się niczego nie pominąć, nie wyciągać żadnych pochopnych wniosków. Ale pielęgniarka miała rację, wyglądało to groźnie. Plamiste wybroczyny, świadczące o zaburzeniach krzepliwości na tle uogólnionej infekcji, kazały podejrzewać zapalenie opon mózgowych.

Dwukrotnie dziecko zareagowało na jej dotyk rozpaczliwym płaczem, zauważyła też odruchowe napinanie mięśni.

- Masz gotowe narzędzia do punkcji, Bonnie?
- Jasne! Proszę, wszystko jest pod ręką.
- A świeża plazma? Od tego byśmy zaczęły.
- Zawsze jest w rezerwie. Plazmę przysyłają nam razem z krwią do transfuzji.

Laurel w najprostszy sposób wytłumaczyła młodej matce, czym jest zapalenie opon mózgowych, na które prawdopodobnie zachorowało jej dziecko, po czym Bonnie Mae zaprowadziła ją do poczekalni. Nie chciały, żeby była świadkiem punkcji lędźwiowej.

Musiały wbić igłę do kanału kręgowego, żeby pobrać płyn mózgowo-rdzeniowy do badania laboratoryjnego posiewu i antybiogramu, które ustalili rodzaj bakterii i jej wrażliwość na różne leki.

Nie mogły oczywiście czekać beczynn timer na wyniki tych badań. Żeby ratować dziecku życie, kurację musiały zacząć niezwłocznie.

- No właśnie... - powiedziała Bonnie złowieszczym tonem, widząc, że płyn wydobywa się pod ciśnieniem, zamiast wypływać po kropli. - Trzeba będzie zawiadomić policję, że grozi nam epidemia. Chłopcy będą jeździć od domu do domu, rozdawać ulotki, tłumaczyć ludziom, że powinni przyprowadzać do nas dzieci z objawami przeziębienia. Zawsze tak jest, to jeden z ich obowiązków. Co teraz?'

- Pobierzemy krew do badania. Aha, zadzwoń też do doktora Lucasa i powiedz mu, jaki szykuje nam się pasztet i poproś, żeby wracał jak najszybciej.

- Dobrze. - Bonnie Mae zmierzyła Laurel przenikliwym spojrzeniem, ale nie zapytała, dlaczego sama nie porozmawia z Jarradem.

- Wiesz, Bonnie, że tobie nikt się nie sprzeciwi - powiedziała Laurel, czytając w jej myślach.

Bonnie Mae położyła ręce na biodrach i roześmiała się.

- A żebyś wiedziała! Nawet jak ktoś spróbuje, to tylko raz. Jestem niekoronowaną królową Chalmers Bay, to prawda!

- Mamy zapas ampiciliny i cefalosporyny?

- Tak, oczywiście! Mamy tu wszystko oprócz pijawek, ale spokojna głowa! Jak trzeba będzie, zdobędę i pijawki!

Cała Bonnie, pomyślała Laurel. Im więcej kłopotów, tym więcej ma energii. Wymieniły porozumiewawcze uśmiechy, szczęśliwe, że mogą na sobie polegać bez zbędnych słów.

- Podamy mu te dwa antybiotyki, a potem podłączymy plazmę. Chyba będę musiała zrobić wenesekcję, żeby znaleźć żyłę. No i cewnik przez nos do żołądka: niektóre płyny będziemy podawać tą drogą.

- Tak jest! Sprzęt jest gotowy. Możemy zaczynać.

- Później zdecyduję, czy zatrzymamy to dziecko u nas, czy wsadzimy do samolotu. Jest w takim stanie, że mogłoby nie przeżyć podróży. Właśnie dlatego chciałabym, żeby wrócił doktor Lucas. Zawsze co dwie głowy, to nie jedna.

- Rozumiem. Pójdę do laboratorium po plazmę. Biedny mały... Wygląda naprawdę żałośnie.

Po południu Skip odebrał telefon od Jarrada, który był już na lotnisku w Chalmers Bay.

- Biorę wóz i jadę po niego - powiedział, wsadzając głowę do gabinetu zabiegowego, w którym Laurel i Bonnie Mae na zmianę dyżurowały przy dziecku.

- Dobrze, Skip. Pospiesz się.

Jeszcze tego samego dnia przywieziono do stacji kilkoro dzieci z objawami zapalenia opon mózgowych. Uprzedzeni o możliwości epidemii policjanci z Królewskiej Konnej rozpoczęli akcję uświadamiającą.

- Przestrzegajcie godzin podawania antybiotyków zwrócił się Jarrad do Bonnie Mae i Skipa, kiedy wszyscy czworo stali przy łóżku chorego dziecka. - Wiem, że to trudne, ale powinniśmy izolować te dzieci od siebie. Nie ma przecież pewności, że wszystkie mają tę samą infekcję.

- Dzwoniłam do miasta, żeby przysłali nam więcej lekarstw i plazmy. Trzeba będzie odebrać przesyłkę z najbliższego samolotu. - Bonnie, skończywszy zabiegi przy kolejnym dziecku, zdjęła gumowe rękawiczki i fartuch. - Czyli jutro rano.

- Pani doktor, pora na przerwę - zarządziła o jedenastej wieczorem Bonnie Mae. - Nie masz tu już nic do roboty. Ja i Skip podamy dzieciakom antybiotyki i wszystkiego dopilnujemy. Przynajmniej jedno z nas mogłoby się przespać.

- Dobrze - zgodziła się Laurel bez protestu.

Do tej pory była zbyt zajęta, żeby myśleć o własnym zmęczeniu, ale teraz zdała sobie sprawę, że ledwie się trzyma na nogach.

- Doktor Lucas śpi już od dwóch godzin, więc pewnie zaraz wróci. Gdyby działo się coś wyjątkowego, to i tak zadzwonię.

Kiedy Laurel znalazła się w swoim pokoju, zdarła z głowy szpitalny czepek i zaczęła szcزتkować włosy, które rozsypały się miękko na jej twarz i ramiona. Ta zwykła czynność sprawiła jej niewysłowioną ulgę. Poczwała, że znowu jest normalną kobietą, a nie robotem do leczenia ludzi, pozbawionym prawa do własnego życia, a przede wszystkim - prawa do popełnienia błędu.

Po dwóch godzinach snu wstała na dźwięk budzika z uczuciem, że spała najwyżej pięć minut. Włożyła czysty fartuch i na ołowianych nogach wróciła do pracy.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła w części szpitalnej stacji, był Jarrad. W maseczce i rękawiczkach niósł dziecko, przytulając do ramienia jego włówkę.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Wyobraziła go sobie w roli kochającego ojca i obraz ten wydał jej się przejmująco realistyczny.

- Cześć, Laurel. Niestety, mamy następne przypadki. A jak ty się czujesz? - zapytał troskliwym tonem, zbijając ją jeszcze bardziej z tropu.

- Jestem zmęczona. Jak można się czuć w takiej sytuacji? Najgorsze, że to dopiero początek.

- Odwołamy wszystkie rutynowe obowiązki - przyjęcia, zabiegi, i tak dalej. Zajmiemy się tylko epidemią, jeżeli to jest epidemia, i nagłymi przypadkami.

- Trochę mi raźniej, odkąd tu jesteś - przyznała szczerze. - Dzięki, że wróciłeś tak szybko.

- Dobrze, że mnie wezwałeś. Mam nadzieję, że jak tylko dzieciaki będą się do tego nadawały, zapakujemy je wszystkie razem z matkami w jeden samolot sanitarny i odeślemy do szpitala. Tak by było najlepiej.

- Tak, masz rację. Co mogę teraz zrobić?

- Dwojgu najmłodszym dzieciom trzeba natychmiast podać płyny infuzyjne podskórnie. Nie mamy czasu na szukanie żył.

Przez kilka następnych dni cały personel stacji medycznej w Chalmers Bay pracował bez wytchnienia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, walcząc zaciekle o utrzymanie wszystkich dzieci przy życiu.

Pod koniec tygodnia, kiedy mieli już dwanaście potwierdzonych przypadków zapalenia opon mózgowych, Jarrad ogłosił akcję profilaktyczną w całej osadzie.

Każde dziecko, z najłżejszymi nawet objawami zakażenia górnych dróg oddechowych, miało być dowiezione do stacji na pobranie wymazu z gardła. Nie czekając na wyniki posiewu, rozpoczynano pełną kurację dwoma różnymi antybiotykami, żeby zapobiec powstaniu szczepów bakterii lekoopornych.

Samolot sanitarny przyleciał po część chorych dzieci i matek w sobotę. Codziennie przysyłano im zamówione lekarstwa. Pracowali bez przerwy w dzień i w nocy - Jarrad na zmianę z Laurel, Bonnie ze Skipem.

Kiedy w piątek, w drugim tygodniu epidemii, Laurel padła w ubraniu na łóżko, niezdolna ruszyć ręką ani nogą, do jej świadomości dotarło, że dłużej

tego nie wytrzyma. Zamknęła powieki i zobaczyła małe rozjarzone światełka, przysłowiowe „gwiazdy w oczach”. Czowała, że mdleje.

- Laurel, co ci jest? - Niespodziewanie przy jej łóżku znalazł się Jarrad. Uklęknął na podłodze i chwycił ją za nadgarstek. - Usłyszałem, że jęczysz. Co się stało? - Miał sine worki pod oczami, a żółta ze zmęczenia cera kontrastowała z czernią jednodniowego zarostu.

- Co... Ja jęczałam? Nie wiem... Jestem zmęczona...

Kiedy pogłodził jej twarz, odsuwając z policzków kosmyki włosów, ten czuły gest wydał się Laurel najbardziej naturalną rzeczą na świecie. I w równie naturalnym odruchu odwróciła lekko głowę, żeby pocałować jego rękę.

- Kiedy to się wreszcie skończy? - szepnęła.

- Może za tydzień. W każdym razie z każdym dniem powinno być już lepiej.

Dotknął wargami jej ust. Laurel otoczyła rękami jego szyję i przygarnęła do siebie mocno. Całowali się zachłannie, niecierpliwie, jak gdyby tym jednym pocałunkiem chcieli wymazać z pamięci wszystkie kłótnie i nadrobić stracony przez nie czas.

- Jarrad... - Spojrzała mu błagalnie w oczy, kiedy uniósł na chwilę głowę.

- Czy któreś z nich, mówię o dzieciach, możemy stracić?

- Jestem pewien, że nie - powiedział z lekkim wahaniem w głosie. -

Nigdy dotąd nie była tak absolutnie pewna, że stało się między nimi coś nieuchronnego, coś cudownego. Nie chciała nazywać tego uczucia - jeszcze nie teraz - ale wiedziała, czuła przez skórę, że nie ma przed nim odwrotu.

- Chcesz herbaty? Przyniosę ci... - Jarrad patrzył na nią z ciepłym, kojącym uśmiechem.

Takiego właśnie spojrzenia i takiego uśmiechu zazdrościła dotąd jego pacjentom.

- Jeśli łaska... - Przeciągnęła się, uszczęśliwiona, mrużąc i ziewając na zmianę. - Znasz kogoś, kto by nie skorzystał z takiej propozycji?

Z dotkliwym uczuciem niespełnienia odsunęli się od siebie i usiedli na łóżku.

- Co za niesamowite uczucie... - westchnęła - pozwolić się pocieszać, dotykać... Brać coś, a nie wciąż tylko dawać, dawać, dawać, nie spodziewając się niczego w zamian - poza satysfakcją zawodową i ulgą, że nikt nie umarł... Przynajmniej na razie.

- Coś takiego... - Jarrad uniósł radośnie brwi. - To zabrzmiało jak rachunek sumienia - orzekł ironicznie - przyznanie się do słabości. Poczuliś się kolosem na glinianych nogach? Niezłomna doktor Hartę... No, no! W

takim razie uchyl przede mną rąbka tajemnicy i powiedz, czy zadowolili cię każdy pocieszający dotyk, czy tylko mój?

- Tylko twój, Jarrad, to jasne!

Oboje wiedzieli, że za tym żartobliwym tonem kryje się poważne wyznanie. Świadomość tego napełniła serce Laurel oszałamiającą radością. Przez chwilę miała wrażenie, że stoi obok siebie i ogląda rozgrywający się dramat, który ma nieuchronne, napisane już zakończenie.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

W miarę jak wygasła epidemia, personel stacji medycznej odwiedzał coraz więcej dzieci w domach, żeby wychwycić następne zachorowania w możliwie najwcześniejszym stadium. Zarówno Jarrad, jak i Laurel z wielką rozważą podawali antybiotyki, ponieważ zawsze w takiej sytuacji istnieje poważne niebezpieczeństwo, że powstaną uodpornione szczepy bakteryjne, nie poddające się ich działaniu w przyszłości.

Był początek sierpnia. Pewnego ranka, w czasie objazdu Chalmers Bay, Laurel zdała sobie nagle sprawę, w jak zawrotnym tempie żyje od kilku tygodni.

Patrząc teraz na przejrzyste, błękitne niebo i krajobraz rozświetlony słońcem, pomyślała sobie, że mogłaby tu zostać na kilka lat - gdyby tak było zawsze. Wiedziała jednak doskonale, że to pobożne życzenie; w Arktyce koniec sierpnia bywa początkiem zimy.

- Dzień dobry, pani doktor! - Machał jej ręką młody mężczyzna, Tommy Patychuk, którego kilka tygodni temu przedstawiła jej Bonnie Mae. Od czasu do czasu pojawiał się w przychodni z niezbyt ciężkimi napadami astmy.

Laurel uśmiechnęła się. Lubiała Tommy'ego, podobnie jak większość Eskimosów, których poznała w Chalmers Bay.

Na myśl o powrocie do „cywilizacji” ogarniały ją mieszane uczucia, jednak perspektywa spędzenia tutaj całej arktycznej zimy wydawała się po prostu nierealna. Śnieg i trzaskający mróz przez osiem miesięcy w roku? Taki krajobraz ma niewiele wspólnego z jej wyobrażeniem rajy. Gdyby mogła wybierać, to już raczej wylegiwanie się na plaży pod drzewem palmowym.

Mając zą sobą oględziny całej rzeszy dzieci, Laurel postanowiła wpaść do Josi Landers, u której zawsze mogła liczyć na filiżankę herbaty. Zaparkowała samochód przed schludnym parterowym domkiem, należącym do banku, w którym pracował jej mąż.

Josi miała zmęczoną twarz, była żałośnie wychudzona, ale otworzyła drzwi z pogodnym uśmiechem, zanim Laurel zdążyła zapukać.

- Dzień dobry, pani doktor. Od razu domyśliłam się, że to pani, jak tylko usłyszałam warkot tej starej furgonetki. Tak się cieszę, że pani o mnie pamięta.

- Powiedz mi, Josi, jak się czujesz. Wyglądasz na bardziej zmęczoną.

- Tak, jestem zmęczona. Ale to dlatego, że za dwa tygodnie już na pewno stąd wyjeżdżamy. Boże, nie mogę w to uwierzyć! Zaczęłam się pakować i

chyba to mnie tak wyczerpało. Ale nie mogę się doczekać, proszę mi wierzyć! Jest nawet szansa, że zdążymy na koniec lata i wybierzemy się na uczciwe wakacje. Do naszego letniego domku albo gdzieś indziej. Herbaty?

- O tak! Marzy mi się właśnie filiżanka gorącej herbaty. Albo i dwie!

Kiedy Josi zniknęła na kilka minut w kuchni, nie przestając mówić o swoich planach, Laurel rozejrzała się po pokoju. Trudno byłoby policzyć stojące na podłodze pudła i otwarte, częściowo spakowane walizki.

- Teraz powiedz mi dokładnie, jak się czujesz. Chciałabym do ostatniego dnia prowadzić twoją historię choroby. Zrobię oczywiście odbitkę, którą zabierzesz ze sobą do Edmonton. Skoro już tu jestem, zmierzę ci ciśnienie. Notujesz codziennie temperaturę, tak jak prosiłam?

- Oczywiście! Ktoregoś dnia mąż mi powiedział, że zapomniał, jak wyglądam bez termometru w ustach. - Josi, roześmiana, wróciła do pokoju z dzbankiem herbaty i dwiema filiżankami. - Komplementami to on mnie nigdy nie rozpieszczał. Cieszy się, że wyjeżdżamy, tak samo jak ja. Co prawda, ludzie tutaj są mili, uczynni, naprawdę wspaniali, ale my lubiliśmy inne życie - kolacje z grilla w ogrodzie, mecze bilardowe... Zresztą, co ja będę pani tłumaczyła.

- Rozumiem. Najgorsze te zimy. Daj rękę, Josi, zmierzę ci ciśnienie, żebyśmy miały to z głowy.

Kiedy Laurel dopijała drugą filiżankę herbaty, usłyszała serię krótkich, przenikliwych dźwięków pagera. Podskoczyła w miejscu - podobnie jak Josi - i odruchowo sięgnęła do kieszeni spodni.

- Od dawna mnie w ten sposób nie wzywali. Coś się musiało wydarzyć. Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Nie mamy w domu aparatu, ale korzystamy z telefonu bankowego. Wyjdzie pani tylnymi drzwiami, przejdzie przez podwórze i jest pani w banku. Proszę zapytać o gabinet Martina.

- Dobrze. Dziękuję za herbatę. Naprawdę postawiła mnie na nogi. Zobaczymy się w przychodni za tydzień. Daj mi znać, jak tylko zarezerwujecie bilety. Tuż przed podróżą chciałabym cię porządnie zbadać. Masz zanotowane terminy wszystkich wizyt w Edmonton?

- Tak, tak! Proszę już iść, pani doktor. Do widzenia! Mąż Josi, Martin, wyszedł dyskretnie z gabinetu, żeby Laurel mogła swobodnie rozmawiać. Telefon odebrała Bonnie Mae. Mówiła nienaturalnie szybko, drżącym z przejęcia głosem.

- Laurel? Dzięki Bogu, nareszcie! Wracaj natychmiast i przygotuj się na wstrząs. To okropne, że mówię ci to przez telefon, ale Jarrad został postrzelony.

Bonnie zamilkła, jakby zabrakło jej w płucach powietrza.

- Postrzelony? Postrzelony czy...? O czym ty mówisz?! Ja...

- Spokojnie, żyje! Jesteś tam? Jest przytomny, ale krwawi. Policjanci przywieźli do nas kilku pijaków z rozciętymi łbami. Jeden z nich wyjął z cholewy pistolet i strzelił do drugiego, ale nie trafił. W drogę wszedł mu Jarrad.

- Nie, nie, nie!

- Dostał w dwa miejsca. W bark... Zdaje się, że na tyle wysoko, że klatka piersiowa nie jest uszkodzona, ale pewności nie mamy. Skip go właśnie prześwietla. Byłam już na lotnisku i prosiłam, żeby wstrzymali popołudniowy samolot do Edmonton. Dobrze się składa, bo planowy odlot jest tuż po dwunastej.

- O mój Boże, a drugi postrzał?

- W prawe udo, dość wysoko. Pocisk przeszedł na wylot i na pewno uszkodził tętnicę udową, bo ciśnienie krwi bardzo spadło. Będziemy się musieli cholernie napocić, żeby sobie z tym poradzić. Założyłam mankiet uciskowy. Skip przygotowuje salę. Za ile minut możesz tu być?

- Kilka. Już jadę, Bonnie. Nie pozwól, żeby coś mu się stało, błagam...

- Pewnie, że nie pozwolę. Tylko bądź tu jak najszybciej. Kiedy pędziła furgonetką głównym traktem Chalmers

Bay, nie pamiętała, jak wybiegła z banku ani w jaki sposób znalazła się w samochodzie. Zaciskając kurczowo palce na kierownicy, szeptała imię Jarrada jak zaklęcie. Potem zaczęła się modlić: „Błagam, Boże, nie pozwól mu umrzeć... nie pozwól mu umrzeć”.

Wyobraziła sobie szeroki strumień krwi wypływający pod ciśnieniem z tętnicy udowej Jarrada. Widziała, jak uchodzi z niego życie. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę - a raczej doznała wstrząsającego olśnienia - że kocha Jarrada Lucasa, i to miłością niepodobną do szczenięcego uwielbienia, jakie żywiła dla Maxa. Nie... Jarrada pokochała głęboką miłością dojrzałej kobiety. Na dobre i na złe.

Zahamowała z piskiem opon przed głównym wejściem. Biegnąc korytarzem przychodni w stronę sali operacyjnej, wiedziała, że Bonnie Mae jest przy nim - przygotowuje dostęp do żył, kroplówki, kontroluje ciśnienie - i że Skip jest gotowy do operacji.

Błagam, Boże, szeptała bezgłośnie, pomóż mi, muszę go operować. Daj mi siłę!

W przebieralni sąsiadującej z pokojem operacyjnym zrzuciła z siebie ubranie i wtedy zauważyła, że drżą jej ręce. Kiedy w pełnym stroju

operacyjnym wchodziła na salę, strach ścisnął jej gardło - paniczny, obezwładniający strach, jakiego nigdy dotąd nie przeżyła.

Jarrad był trupio błydy, co potwierdzało przypuszczenia pielęgniarki o silnym krwawieniu. Bonnie założyła już dwa wenflony na obu rękach i uruchomiła kroplówki - jedną do podawania krwi, drugą do płynów fizjologicznych. Co chwilę spoglądała na monitory.

- Dobrze, że już jesteś - przywitała Laurel szeptem, wskazując palcem kartę, na której zanotowała oznaczenia tema oraz ciśnienia krwi tuż po wypadku. - Zerknij chociaż: tak to wyglądało, zanim go podłączyłam do aparatury i ruszyłam z kroplówką. Krwi mamy dosyć, plazmy też nie zabraknie. Ciśnienie jest wyrównane, ale cały czas niskie.

- Doskonale, Bonnie, jesteś niesamowita.

- Laurel? - Mimo że rozmawiały szeptem, Jarrad otworzył oczy i spojrzał w bok.

- Tak, jestem tutaj.

Podeszła do niego, nie próbując nawet ukrywać łez.

- Przepraszam - szepnęła. - Cholernie głupia historia. Nie płacz, moja kochana... Nie martw się.

- Jarrad, ja nie mogę operować... nie ciebie - jęknęła rozpaczliwie, pochylona nad jego twarzą. - Nie zniosłabym tego, rozumiesz?

Nie musiała kończyć tego zdania. Jego oczy mówiły, że on też nie chciałby umrzeć i nie chciałby jej zostawić z tak okropnym brzemieniem. Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że nie ma wyjścia, że wszelkie słowa są bezcelowe. Jeśli go nie zoperuje, wykrwawi się na śmierć, i to wkrótce.

- Powiedz mi, co będziesz robiła, jak się do tego zabierzesz. Ze szczegółami.

- Och, Jarrad... - szepnęła, czując, że za chwilę pęknie jej serce. Jak mogła operować drżącymi rękami, prawie nie widząc...

- Laurel, mów, proszę.

- Znieczulę cię dołędźwiowo - zaczęła powoli - i zacznę od nogi. Przetnę skórę, dotrę do krwawiącej tętnicy, zacisnę, zrobię co się da, żeby ją odtworzyć, a potem zajmę się raną. Przepluczę ją, założę drenaż i cię zeszyję. Później sprawdzę, czy przepływ jest prawidłowy.

- Świetnie. Co dalej?

- Będziemy musieli cię przetransportować do Edmonton. A jeśli chodzi o bark... - spojrzała na podświetlone na negatoskopie zdjęcie - to pocisk został. Nie będę w tym dłużej, szkoda czasu. Zajmą się tym nasi koledzy ze szpitala.

- Dobrze. Masz moje błogosławieństwo. Zrobiłbym tak samo. No to do roboty, pani doktor. Wierzę w ciebie, ufam ci, naprawdę.

- W takim razie nie mam wyjścia - szepnęła, uśmiechając się przez łzy. - W końcu dłubanie w naczyniach to moja specjalność! Wszystko będzie dobrze, wylizesz się... Jednego jestem pewna, Jarrad: bez ciebie wszystko będzie okropne. Nie pozwolę na to!

To były najbardziej zbliżone do „kocham cię” słowa, na jakie umiała się zdobyć.

- Skip, jesteś gotowy? A ty, Bonnie?

- Wszystko gotowe, pani doktor - odparł Skip.

- Tak jest! - Bonnie otworzyła sterylny pojemnik z zestawem narzędzi do znieczulenia rdzeniowego. - Melduję, że jestem gotowa!

- Najpierw demerol - Laurel zwróciła się do Bonnie. - I miej pod ręką heparynę. Będę jej potrzebowała po zeszcyciu tętnicy, żeby nie zrobiły się skrzepliny. No tak, ale ze względu na drugą ranę trzeba będzie z tym ostrożnie.

- Dobrze, wszystko jest pod ręką. Aha, chłopcy z lotniska będą trzymać samolot tak długo, jak to będzie konieczne. Nie ma pośpiechu!

- Doskonale. Dobrze, że mi to powiedziałaś. Uczucie paniki, drżenie rąk - nagle wszystko minęło.

W chwili, kiedy wzięła do ręki strzykawkę, żeby nabrać środka znieczulający, była przede wszystkim chirurgiem. Jej ruchy stały się pewne, szybkie i dokładne.

- Jarrad, teraz dołożę ci demerol do kroplówki, potem cię nakłuję. Zaczniemy rozmawiać, jak będzie po wszystkim.

Nachyliła się i pocałowała go w czoło. Było chłodne i lepkie.

- Ufam ci...

Przesuwając wolno tłok strzykawki, Laurel spoglądała na rozluźniającą się twarz Jarrada. Demerol, działający krótkotrwale, pozwolił ułożyć go bezboleśnie do nakłucia lędźwiowego i całkowitego znieczulenia od pasa w dół.

- W porządku! - zagrzmiała tubalnym głosem Bonnie Mae. - No to do dzieła!

- Bonnie, zwalniaj powoli zacisk mankietu - powiedziała Laurel, wpatrując się w głęboką ranę, którą Skip rozchylił hakami chirurgicznymi.

Zacisnęła już uszkodzoną pociskiem tętnicę udową, z której chwilę wcześniej wydobywał się rytmicznie strumień krwi. Za pomocą ssaka osuszyła starannie ranę.

- Sprawdzę jeszcze, czy nie ma uszkodzeń innych naczyń - zwróciła się do Skipa. - W porządku, Bonnie - westchnęła po raz pierwszy z ulgą - zaciśnij z powrotem mankiet na kilka minut i zanotuj czas. Skip, podaj mi łatę dakronową i szew cztery zero.

Pracowali w milczeniu, w absolutnej koncentracji, nie pozwalając sobie na ani jeden zbędny gest lub słowo. Wszyscy troje byli aż nazbyt świadomi, że jeśli Jarrad umrze na stole operacyjnym, nie darują sobie tego do końca życia.

- Na razie idzie nieźle, co? - mruknęła Bonnie, podłączając do kroplówki następny pojemnik z krwią.

- Tak - odparła szeptem Laurel. - Trzymaj kciuki.

- Już ja się modłę, spokojna głowa! W życiu tak się nie modliłam!

- Bonnie, przekręcimy go za chwilę na bok, żeby przepłukać wylot rany i założyć drenaż. Będę potrzebowała ciepłej soli i wody utlenionej. Potem znieczulimy go miejscowo i oczyścimy ranę barku.

Dużo później dzwonek telefonu przypomniał im, że istnieje świat zewnętrzny.

- Lotnisko - oświadczyła Bonnie, która podniosła słuchawkę. - Przyleciał samolot z Edmonton. Wstrzymają się z odlotem tak długo, jak to będzie konieczne. Chcą tylko wiedzieć, ile czasu nam to mniej więcej zajmie.

Laurel spojrzała na zegar ścienny.

- Powiedz im, że możemy być na lotnisku za trzy kwadranse.

- Chcesz, żebym z nim poleciała? - zapytała Bonnie, odłożywszy słuchawkę. - Według mnie tak byłoby lepiej, bo przynajmniej jeden lekarz zostałby na miejscu.

Nie dodała, że taka podróż byłaby dla Laurel wstrząsającym przeżyciem, którego wolałaby jej oszczędzić, domyślając się, co czuje do Jarrada.

Laurel uśmiechnęła się blade. Bonnie Mae nie jest naiwna. Mimo ich wszystkich kłótni i nieporozumień nie mogła nie zauważyć, że ją i Jarrada łączy coś więcej niż praca.

- Tak, chyba rzeczywiście tak będzie najlepiej - zgodziła się pokornie. - Znasz lepiej tutejsze układy. Odwiozę was na lotnisko i wrócę.

- Świetnie! Na szczęście zawsze mam przy sobie spakowaną torbę. Pójdę po nią, złapię jeden zestaw wypadkowy i jestem gotowa. Zadzwoń do ciebie, jak tylko postawimy nogę na lotnisku w Edmonton. Wyjedzie po nas karetka szpitalna; wszystko już wiedzą i czekają na nas. Zostanę tam na jedną noc i jutro wrócę.

- Dobrze, Bonnie.

Wykonując ostatnie czynności operacyjne, kiedy wszystko wskazywało na to, że życiu Jarrada nie zagraża już bezpośrednie niebezpieczeństwo, Laurel zdała sobie sprawę, że bolą ją wszystkie mięśnie - właściwie każdy mięsień z osobna - i że ledwie trzyma się na nogach. Wtedy przypomniała sobie, że Jarrad powiedział do niej „moja kochana”. Ten słowny talizman mógł dać jej siłę na wiele mrocznych dni, które miała przed sobą.

Kiedy dotarli na lotnisko, Jarrad był oszołomiony, ale przytomny. W ambulansie trzymał Laurel za rękę - wiedziała, że dodaje w ten sposób otuchy nie tylko sobie, ale i jej. Milczała. Nie dowierzając własnym nerwom, myślała tylko o tym, żeby powstrzymać gromadzące się pod powiekami łzy.

- Co się stało z tymi bandziorami? - zapytała Bonnie Wayne'a Keelinga, który siedział obok nich, w tylnej części karetki policyjnej. - Nie miałam głowy, żeby spytać o to wcześniej.

- Są w areszcie - odparł z satysfakcją, -r I jeśli o mnie chodzi, mogą tam zgnieć! My na pewno nie będziemy się spieszyć z wypuszczeniem tych drani. Ten, który strzelił, będzie oskarżony o usiłowanie zabójstwa.

- To dobrze! Słabo mi się robi, jak patrzę na tych łobuzów wymachujących bronią, jakby to były pistolety na wodę albo jakieś inne zabawki.

- Tak, niestety...

Na lotnisku przed wejściem do samolotu czekała na nich cała załoga, łącznie z pilotem,

- Przyzna pan, doktorze Lucas - zażartowała Bonnie - że obchodzą się tu z panem nie gorzej niż z królem. Brakuje tylko kompanii honorowej.

- Dziękuję wam... - Jarrad uśmiechnął się, patrząc w arktyczne niebo, kiedy dwaj policjanci i dwaj mężczyźni z załogi zaczęli pchać wózek po schodkach do samolotu.

Laurel nie mogła wydusić z siebie słowa. Postanowiła pożegnać się z Jarradem w ostatniej chwili, kiedy umieszczą go w środku.

- Laurel... - odezwał się pierwszy, dotykając jej ręki. - Zadzwońię do ciebie, jak tylko będę mógł. - Mówił powoli, z wysiłkiem, jak gdyby każde słowo sprawiało mu ból, co chwilę zwilżając językiem wargi.

- Dobrze. - Odzyskała wreszcie głos. - Zadzwoń koniecznie, nie zapomnij. Będę czekała.

Kiedy pozostali pasażerowie z bagażami weszli na pokład, zapanował wokół nich zgiełk. Jarrad przyciągnął do siebie Laurel, zmuszając, żeby pochylała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Dziękuję. Uratowałaś mi życie. Nigdy tego nie zapomnę.

Te słowa znaczyły o wiele więcej - były w nich przeprosiny za wszystkie nieporozumienia, szacunek, podziw... i miłość. Uwierzyła w to. Przy całej swojej rozpacz - z powodu stanu, w jakim znajdował się Jarrad, a także z powodu ich rozstania - uchwyciła się tych słów, jak przysłowiowy tonący chwytając się brzytwy.

- Wątpię, żebym tu wrócił. Nie miałyby to sensu, bo i tak zostało nam mało czasu. Przepraszam, że zostawiam cię w takiej sytuacji.

- To nieważne. - Nie mogła znieść myśli o nieuchronnym pożegnaniu. Nic innego nie miało teraz znaczenia. Bezwiednym gestem odgarnęła włosy z jego bladego czoła. - Trzymaj się. Słowa nie na wiele się zdają, prawda? Niezłe się przy tobie napociłam, Jarrad... i wygląda na to, że nie na darmo. Więc trzymaj się, do diabła, i rób dokładnie to, co ci każe Bonnie. Rozumiesz? Głowa do góry.

- Tak jest! - Po raz pierwszy od przebudzenia jego twarz rozjaśnił wyraźny uśmiech. - Przy Bonnie człowiek nie ma wyboru. Pomyślałem sobie, że gdybyś nie operowała tyle z Joshem, pewnie nie umiałabyś tak dobrze łątać naczyń. Bóg... czy los tak chciał. W każdym razie wyroki opatrności są niezbadane.

- Tak, za dużo jest tych „gdyby”. Lepiej zostawić je w spokoju.

- Ale jest coś, co chciałem ci powiedzieć, ale nie zdażyłem. - Jarrad ścisnął mocniej jej dłoń. - Jeżeli człowiek poświęca zbyt wiele czasu, energii psychicznej, na rozliczanie się z przeszłością i zaniedbuje przez to teraźniejszość, grzebie swoje szanse. A życie toczy się dalej, świat nie stoi w miejscu. Mówię o swoich błędach i widzę, że ty robisz dokładnie to samo. Skończ z tym, Laurel. Jesteś cudowną kobietą.

- Och, Jarrad... - Położyła głowę na jego ramieniu, nie chcąc udawać, że czegoś nie rozumie.

- Zobaczymy się, Laurel - szepnął. - Nie płacz, kochanie. Do widzenia.

- Do widzenia, Jarrad. Trzymaj się. Bonnie, ty też. - Laurel wyprostowała się, ocierając wierzchem dłoni policzki. - Dzięki za wszystko. Bez ciebie by się nie udało. Byłaś absolutnie wspaniała.

- Zajmę się nim, Laurel. Bądź spokojna.

Uścisnęły się, jak gdyby rozstawały się na bardzo długo, ale w tym geście było wszystko, czego nie mogły wyrazić słowami. Laurel spojrzała jeszcze raz na Jarrada i niemal „wybiegła z samolotu. Teraz mogła spokojnie szlochać.

Kiedy wracała do stacji medycznej, Chalmers Bay wydało jej się nagle obcym, nieprzyjaznym miejscem.

- Proszę się tak nie martwić, pani doktor - pocieszał ją Wayne Keeling. - Doktor Lucas jest w dobrych rękach. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie utrzymać go przy życiu, to tylko Bonnie Mae. Cuda, jakich dokonała w swojej karierze ta kobieta, to jedyne rzeczy warte opowiadania. Wszystko inne to przyszcz! A pani potrzebuje teraz mocnego drinka. Ma pani coś u siebie?

- Tak, jakąś brandy.

- No i dobrze! Niech pani zaparzy herbatę, wleje do niej hojną ręką brandy i mocno posłodzi. To wszystkich stawia na nogi.

W mieszkaniu dla personelu panowała grobowa cisza. Laurel zdjęła kurtkę i powiesiła ją niedbale na wieszaku. Weszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę i wyjęła z szafki butelkę brandy.

Czekając na wrzątek, spojrzała na uchylone drzwi do sypialni Jarrada i weszła do środka. Łóżko było nie posłane i pokój sprawiał miłe wrażenie, że ktoś w nim mieszka. Sweter rzucony na oparcie łóżka wyglądał jak rekwizyt teatralny - lada moment jego właściciel wyjdzie z łazienki i włoży go przez głowę... Laurel ukryła twarz w dłoniach, skuliła się i zaczęła rozpaczliwie płakać.

Może na wpół świadomie, ale zdała sobie sprawę, że płacze z powodu braku Jarrada, z niepokoju o niego i z powodu swojej nowej miłości. Oplakiwała też Maxa Freera, młodego, sympatycznego studenta medycyny, jakim był na początku ich znajomości, zanim stał się gruboskórny i arogancki. Żegnała się z Maxem na zawsze, żegnała swoje młodzieńcze lata i naiwną dziewczynę, którą kiedyś była.

Położyła się na łóżku Jarrada i wtuliła twarz w poduszkę. Zamknęła oczy i wciągnęła w nozdrza delikatny, wyrafinowany zapach jego wody kolońskiej. Bardzo często próbowała odgadnąć, jaka to kompozycja: imbir, cytryna, goździki, kwiat pomarańczy... Egzotyczne aromaty ciepłych krajów. Zacisnęła palce aż do bólu. Umierała z tęsknoty. Kochała go miłością szaleńczą, ale czy mogła się łudzić, że to uczucie jest wzajemne?

Przed oczami stanęła jej Ginny, tajemnicza, ale jakże realna Ginny. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że gdyby ta dziewczyna była dla Jarrada kimś ważnym, nie zostawiłby jej i nie pojechał na koniec świata... z koleżanką.

Położywszy się na plecach, utkwiała oczy w suficie. Nie mogła wykluczyć możliwości, że nie zobaczy Jarrada nigdy więcej. Nie powiedział jej, gdzie zamierza pracować po powrocie z Chalmers Bay, ale znał dokładnie jej plany. W połowie października miała zacząć staż specjalizacyjny w nowym szpitalu.

Wstała z trudem i na ołowianych nogach wróciła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Wayne Keeling nie przesadził - słodka herbata z dodatkiem brandy podziałała na nią kojąco.

W nagłym przypływie rozsądku pomyślała, że w najbliższych dniach powinna spakować należące do Jarrada rzeczy i przesłać je do Edmonton. Nie obędzie się też bez dochodzenia w sprawie strzelaniny. Na szczęście nie była jej świadkiem, ale na pewno będzie musiała napisać szczegółowy protokół operacyjny.

Raptem usłyszała coś, na co w swojej rozpaczliwej samotności i udawanym spokoju podświadomie czekała -stłumiony, bardzo odległy warkot startującego odrzutowca. Oparła się plecami o ścianę i płakała dotąd, aż poczuła w sobie chłodną pustkę. Zabrakło jej łez, a razem ze łzami odeszła gdzieś rozpacz. Został tylko głęboki, paraliżujący smutek.

Zadzwoniła do Skipa, że upewnić się, że nie jest potrzebna na dyżurze. Poza kilkorgiem dzieci, którymi opiekowała się Nuna, nie mieli żadnych hospitalizowanych pacjentów i nic szczególnego się nie działo. Zaraz potem wykreśliła numer do siedziby dyrekcji służby zdrowia w Yellowknife, żeby zawiadomić ich o wypadku Jarrada i poprosić o natychmiastowe zastępstwo.

- Chciałabym również prosić - dodała na końcu - żeby rozważyli państwo możliwość mojego wyjazdu z Chalmers Bay na dwa tygodnie przed wygaśnięciem kontraktu. To, co się dzisiaj wydarzyło, jest dla mnie wielkim szokiem. Gdyby więc znalazł się ktoś na moje miejsce, byłabym bardzo zobowiązana.

Zabawne, powiedziała głośno do siebie, kiedy odłożyła słuchawkę. Sama nie wiedziałam, że to powiem...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Laurel w grobowym nastroju krążyła po pokoju, wyczekując wiadomości od Bonnie Mae. Telefon wreszcie zadzwonił.

- Jestem na lotnisku w Edmonton - krzyczała Bonnie w słuchawkę. - Nie mogę długo rozmawiać, bo chłopcy z karetki czekają. Jarrad czuje się dobrze. Przespał prawie całą podróż; przygłuszyłam go demerolem. Ciśnienie ma dobre, brak oznak krwawienia. Wygląda na to, że bardzo się postarałaś!

- Dzięki Bogu! - powiedziała zdyszczanym głosem Laurel, jakby zrzuciła z pleców wielki ciężar. Przed minutą kompletnie przygnębiona, teraz była bliska euforii. - Jezu, jak to dobrze! Dziękuję ci, Bonnie, dziękuję za wszystko. Odezwij się jeszcze. I, Bonnie, ucałuj ode mnie Jarrada.

- Na pewno nie zapomnę! Prosił, żeby ci powiedzieć, że tęskni za tobą i że teraz ty jesteś szefem. Dodał, że na pewno zrozumiesz. - Bonnie Mae zanosła się radosnym śmiechem. - Gdyby wydarzyło się coś nowego, zadzwonię jeszcze późnym wieczorem. Jeśli nie, jutro rano. Będę już wtedy wiedziała, kiedy wracam. Chętnie bym została tu do pojutrze, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Szczerze ci powiem, Laurel, że ja też jestem wykończona.

- Chciałabym teraz być z tobą, Bonnie. Nie spiesz się.

Wróć, kiedy chcesz. I odpocznij. Tu nic takiego się nie dzieje. Trzymaj się.

Następnego dnia planowe zabiegi operacyjne zostały odwołane. Laurel zostawiła na dyżurze Skipa, a sama wybrała się na objazd Chalmers Bay. Postanowiła odwiedzić wszystkie dzieci, które leżały u nich z rozpoznaniem zapaleniem opon mózgowych, a także te, które z powodu charakterystycznych objawów infekcji przechodziły kurację antybiotykową w swoich domach. Pracowała od samego rana, bez przerwy na lunch, z silnym postanowieniem, że nie pominie ani jednego dziecka. Spodziewając się przyjazdu nowego lekarza, chciała zapiąć wszystkie sprawy zawodowe na ostatni guzik, żeby z czystym sumieniem przekazać mu pałeczkę i wyjechać.

Jak najszybciej.

Pełnię krótkiego, arktycznego lata należało zaliczyć do wspomnień, choć podszyte tundry wciąż było zielone, ptaki nie odchowały jeszcze piskląt, białe wieloryby hasały w lodowatych wodach Zatoki Koronacji. Laurel spodziewała się, że opuści Arktykę wcześniej niż ptaki i zwierzęta.

Kiedy wróciła późnym popołudniem do stacji, Skip przywitał ją dobrą wiadomością.

- Dzwonił doktor Dan McCormick. Dyrekcja prosiła, żeby przyjechał tu na trochę, dopóki nie podpiszą kontraktu z nową ekipą lekarzy. Powiedziałem, że pani do niego zadzwoni. Chciałby wiedzieć dokładnie, co się przydarzyło doktorowi Lucasowi. Fantastyczny facet, ten McCormick! Był tu już wiele razy.

- Widzę, że nie tracą czasu. Dziękuję, Skip. Zjem coś, a potem do niego zadzwonię. A co się dzieje tutaj? Urwanie głowy?

- Nie, spokojnie. Kilka osób czeka na zmianę opatrunku. Poradzę sobie.

Kiedy wróciła do pustego mieszkania i spojrzała na pokój Jarrada,, wiedziała tylko tyle, że nie chce pracować w Chalmers Bay bez niego. Przygotowując w kuchni prosty posiłek, zastanawiała się, jak to powiedzieć doktorowi McCormickowi.

- Mogę przylecieć za cztery dni, jeśli to pani odpowiada - powiedział radośnie, kiedy połączyła się z jego gabinetem w Calgary. - Załatwię najważniejsze sprawy, przekażę pacjentów kolegom i już mnie tu nie ma. Aha, nie potrzebuję pokoju w aneksie mieszkalnym. Zatrzymam się u przyjaciółki w miasteczku.

- Będę panu bardzo wdzięczna, doktorze. Kamień spadł mi z serca, zwłaszcza że zna pan to miejsce... Czy ktoś z dyrekcji rozmawiał z panem o drugim lekarzu na moje miejsce? Ta strzelanina wytrąciła mnie z równowagi. Chętnie bym stąd wyjechała wcześniej, niż miałam zamiar...

- Tak, szukają kogoś. Sądzę, że jeszcze przed moim przyjazdem będzie pani wiedziała coś konkretnego. Zwykle stają na głowie, żeby wydostać z takiego miejsca każdego, kto ma dosyć. Proszę mi opowiedzieć, co się właściwie stało doktorowi Lucasowi.

Rozmawiali o strzelaninie, a potem o wygasającej epidemii zapalenia opon mózgowych.

- Poprawił mi pan nastrój, doktorze. Jeszcze raz dziękuję, że zgodził się pan przyjechać.

- Mów do mnie Dan - odparł ze śmiechem. - I nie dziękuj. Od dawna już namawiam znajomą z Chalmers

Bay, żeby za mnie wyszła! Może tym razem uda nam się ustalić datę ślubu.

- Daj znać, gdybym mogła w czymś pomóc - powiedziała ciepło, przekonana, że współpraca z doktorem Danem McCormickiem będzie dla niej przyjemnością.

- Zadzwoń do was, jak tylko zarezerwuję bilet. Do zobaczenia.

Bonnie Mae wróciła następnego dnia wieczorem. Odebrał ją z lotniska Joe Fletcher i przywiózł prosto na kolację do Laurel, która z ciężkim sercem, wysłuchawszy najpierw relacji o stanie zdrowia Jarrada, musiała wyznać Bonnie, że podjęła decyzję o wyjeździe z Chalmers Bay.

- Nie mogę tego ciągnąć bez Jarrada. Nie wiem dlaczego. Bez niego wszystko jakby straciło znaczenie.

Siedziały naprzeciwko siebie, popijając wino, które Bonnie przywiozła z Edmonton, nie ustępujące jakością królewskiemu daniu Joe'ego Fletchera. Bonnie Mae wstrzymała na chwilę oddech.

- Właściwie nie mam do ciebie żalu - powiedziała. - Wszystkich nas to przybiło. Zamartwiasz się o niego, nie możesz o niczym innym myśleć. To rozumiałe.

- Tak, ale jest coś jeszcze. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, bo sama nie jestem pewna. Chodzi o to, że...

- Kochasz go, prawda? - Bonnie zmierzyła Laurel swoim charakterystycznym, przenikliwym spojrzeniem, które zbijało z tropu każdego symulującego pacjenta.

- Tak.

- A on o tym wie?

- Nie. W każdym razie ja nic mu nie mówiłam. Podejrzewam, że jestem ostatnią kobietą, od której chciałby to usłyszeć. Jarrad, delikatnie mówiąc, nie przepada za kobietami w moim stylu.

- To znaczy jakimi?

- Ambitnymi, traktującymi poważnie pracę zawodową. Nazywa je wyrachowanymi babsztyłami.

- Ty i wyrachowanie! - Bonnie Mae oburzyła się. - Powiedziałabym raczej, że jesteś zbyt delikatna. Jeżeli nie zauważył tego do tej pory, powinien wreszcie przejrzeć! Swoją drogą... jestem przekonana, że on marzy właśnie o kobiecie ambitnej i pewnej siebie. Z mojego doświadczenia, a także z obserwacji innych ludzi wynika, że większość mężczyzn szuka kobiet o podobnym do ich własnym poziomie inteligencji, o podobnych aspiracjach, sukcesach, i tak dalej. Dotyczy to oczywiście stałych partnerek, a nie przelotnych znajomości. Wydaje mi się jednak, że rozmawiamy o poważnej sprawie?

- Tak... Nie jestem przecież dzieckiem. Nie będę oszukiwać samej siebie.

- I słusznie! Jest coś takiego w tym miejscu, że ludzie, którzy tu przyjeżdżają, prędzej czy później zaczynają zastanawiać się nad swoim życiem, próbują dojść do ładu ze swoją przeszłością, robią wielki rachunek

sumienia. Niektórych ogarnia przerażenie i wpadają w panikę. Być może tak jest z Jarradem. Może i ty się przestraszyłaś.

Bonnie Mae wstała na chwilę od stołu i poszła do kuchni po deser.

- Chcesz kawałek szarlotki?

- Proszę - odpowiedziała nieobecny głosem.

- Weź mnie i Chucka - ciągnęła Bonnie. - Znamy się już tyle lat i właściwie tylko z nazwy nie jesteśmy małżeństwem. A teraz w październiku pobierzemy się. Uznaliśmy, że nadszedł czas, dojrzeliliśmy do tego. Może i dla was nadszedł czas, kto wie... Czy mogłabym ci coś radzić? Bądź w kontakcie z Jarradem, może i on coś wreszcie postanowi. Ja tam bym się założyła, że już to zrobił. Kiedy leżał tu i krwawił jak - za przeproszeniem - zaszlachtowany wieprz, musiał dziękować opatrności za to, że ma ciebie! W takich chwilach człowiek szybko myśli.

- Będzie mi ciebie brakowało, Bonnie. Jesteś dla mnie taka dobra. No nie! Jeśli chodzi o dokarmianie, to zbyt dobra! Tą porcją ciasta najadłoby się trzech chłopów!

Po raz pierwszy od wypadku Jarrada Laurel zaczęła się śmiać.

- A mnie będzie brakowało ciebie. Ale przyjedziesz na mój ślub, mam nadzieję. Do Edmonton. Zapraszam ciebie, doktora Lucasa i wszystkich, którzy kiedykolwiek pracowali w tej stacji. To będzie najwspanialsze wesele, jakie widziałas w życiu!

- Spróbuj je tylko odwołać!

Dwa tygodnie później, w czasie lotu z Chalmers Bay do Edmonton, Laurel miała wiele czasu na rozmyślanie o wszystkim, co wydarzyło się w jej życiu w ostatnich tygodniach i o tym, co mogło się wydarzyć w najbliższej przyszłości.

Rzeczy Jarrada zostały przesłane do Edmonton, do domu noclegowego, z którego korzystał personel stacji medycznej Chalmers Bay, ich pacjenci, a w razie potrzeby rodziny hospitalizowanych pacjentów. Także Laurel, w drodze do Gresham, miała zatrzymać się tam na dwie noce.

Jarradowi udało się zadzwonić do niej jeszcze tego samego wieczoru, w którym dotarł do szpitala. Cztery dni później napisał drżącą ręką list, w którym zawiadamiał, że ma już usunięty z barku pocisk.

To był bardzo krótki list. Dziękował w nim Laurel, Bonnie i Skipowi za uratowanie mu życia i opowiadał w skrócie, co się wydarzyło w szpitalu. Zapewniał, że czuje się dobrze i tylko napomknął - mało konkretnie - że może wyjedzie na rekonwalescencję do jakiegoś ciepłego kraju.

Czytała ten list sto razy i nie mogła pozbyć się wrażenia, że Jarrad nie mówi jej najważniejszego: że jest to prawdopodobnie list pożegnalny.

Tłumaczyła to oczywiście jego depresją i oszołomieniem środkami znieczulającymi. Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego miała tak złe przecucie. Wiedziała tylko, że coś jest nie tak.

Właśnie z powodu tej irracjonalnej obawy chciała jak najszybciej opuścić Chalmers Bay. Mimo wielu telefonów do miasta tylko dwa razy udało jej się rozmawiać z Jarradem, a i wtedy był zbyt zmęczony i otepiały z powodu leków, żeby mogła wypytywać go o plany na przyszłość. Dwa dni przed swoim odlotem z Chalmers Bay, nie doczekawszy się od niego żadnych nowych wieści, Laurel zadzwoniła do szpitala, żeby upewnić się, czy Jarrad wciąż tam jest. Okazało się, że został już wypisany i odleciał do Meksyku na dalsze leczenie i rekonwalescencję.

Potrzeba spotkania się z Jarradem stała się porażająca: nie mogła myśleć o niczym innym, budziła się i zasypiała z tym samym pragnieniem. Nie pomagała nawet praca.

W dniu jej odlotu z Chalmers Bay wszystko działo się tak szybko, że teraz, kiedy siedziała spokojnie w samolocie, ledwie mogła uwierzyć, że pożegnała się z Bonnie, Skipem, Nuną i Joe Fletcherem. Pocieszała się, że zobaczy ich wszystkich - także policjantów z Królewskiej Konnej i wielu innych ludzi, których polubiła - na ślubie Bonnie Mae.

W Edmonton mogła spytać się o losy pacjentów, którzy wcześniej niż ona wyjechali z Chalmers Bay - prawdopodobnie na zawsze. Josi Landers opuściła niedawno szpital, a Rick Sommers przechodził kurację na oddziale radioterapii. Telefonował kilka razy do stacji medycznej, żeby opowiedzieć, jak się czuje - zgodnie z umową.

Poza przykrym uczuciem, że porzuca pracę, której nie dokończyła, miała przecież świadomość, że większość jej pacjentów albo wyzdrowiała, albo znalazła się pod dobrą opieką w szpitalu z prawdziwego zdarzenia. A rudowłosy, pogodny doktor Dan McCormick nie ukrywał wcale, że propozycję objęcia stacji w Chalmers Bay przyjął jak najszczęśliwsze zrządzenie losu. Przyleciał z drugim chirurgiem, z tego samego szpitala w Calgary, który znał Chalmers Bay i gotów był na krótko zastąpić Laurel.

- Dzień dobry, pani doktor, jak to miło panią spotkać! Często o pani myślałem i zastanawiałem się, kiedy pani do mnie wpadnie. - Rick Sommers uściskał rękę Laurel w gabinecie prywatnym doktora Michaela Leytona - lekarza, do którego skierowała Ricka i Josi Landers. - Jak pani widzi, wyglądam trochę inaczej...

- Tak, widzę! - przyznała radośnie. - To znaczy prawie nie widzę twojego guza na szyi! Wspaniale. A powiedz mi, Rick, jak ty się czujesz, tak ogólnie?

- Dobrze. Pracuję na pełnym etacie. Firma poszła mi na rękę w ten sposób, że tylko połowę dnia jestem w terenie, a drugą połowę za biurkiem. Odpowiada mi to, poza tym zawsze mogę się zwolnić na zabiegi.

Laurel spotkała się jeszcze z Josi Landers, a potem - ze spokojnym sumieniem - wybrała się po zakupy. Wieczorem nie pozostało jej nic innego jak zjeść kolację, spakować bagaże i wypaść się przed podróżą.

Następnego dnia lotnisko w Gresham wydało jej się znacznie bardziej zatłoczone i nieprzyjazne niż w Edmonton. Poczowała się w tym zapomnianym, wielkim świecie kompletnie zagubiona. Pchając wózek z bagażami w kierunku wyjścia, odruchowo powiodła wzrokiem po twarzach ludzi, którzy wypatrywali w tłumie podróżnych swoich znajomych. Laurel nie spodziewała się powitań na lotnisku, choćby dlatego, że nikt w Gresham nie znał daty jej powrotu.

Tym większe było jej zdumienie, kiedy usłyszała dwukrotnie wywołane własne imię. Zrobiła pełen obrót na pięcie, ale dopiero po chwili zauważyła mężczyznę, który machał do niej ręką, przedzierając się nieporadnie przez zwartą masę ludzi. Doktor Joshua Kapinsky we własnej osobie.

- Cześć, Laurel! - Uśmiechał się do niej i machał coraz bardziej zamasyście.

Im szybciej się zbliżał, tym większą miała pewność, że miesiące spędzone w Chalmers Bay oraz fakt, że nie była już jego podwładną ani koleżanką, nadały jej myślom o Joshui - i o całej swojej przeszłości - pewien dystans.

Z jasnością spojrzenia, jakiej nabiera się czasami po dłuższym rozstaniu, zobaczyła człowieka, jakim był naprawdę - przedwcześnie postarzałego, zmęczonego mężczyznę, który w całym swoim dorosłym życiu nie miał czasu dla nikogo i na nic - poza jedyną rzeczą, w której był dobry: pracą kardiochirurga.

Ogarnęła ją litość, niemal macierzyńskie współczucie z powodu utraconego czasu, którego Joshua nie mógł już nadrobić. W każdym razie nie z nią. Nie miała żadnych złudzeń: gdyby została jego żoną, prędzej czy później ona również znalazłaby się na marginesie jego życia. Poza tym nie kochała go.

„Nie chciałaś mieć normalnego życia?” - zapytał ją kiedyś Jarrad. Joshua Kapinsky był ostatnim mężczyzną, który mógłby jej stworzyć „normalne” życie.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie dzisiaj przylecę? - spytała niepewnym głosem, kiedy Joshua podszedł do niej z wyciągniętymi ramionami. - To... miło z twojej strony.

- Mam swoje metody. - Uraczył ją charakterystycznym uśmiechem starego wyjadacza. - Zadzwoń do tej pielęgniarki, Bonnie Mae, która, jak zdążyłaś się na pewno zorientować, wie wszystko!

W samochodzie Joshua opowiadał Laurel o wydarzeniach ze Szpitala Uniwersyteckiego, o wspólnych znajomych i o tym, co się działo w mieście. Nie wykazywał za to najmniejszego zainteresowania jej pobytem w Chalmers Bay, jak gdyby uważał, że ten wyjazd był krótkim, nic nie znaczącym epizodem, po którym wracała do normalnego życia. Nieodzownym elementem tego życia miał być oczywiście doktor Joshua Kapinsky.

Udając, że słucha uważnie, myślała o Jarradzie.

Dopiero kilka godzin później, po czterech daniach wystawnej kolacji, którą uraczył ich służący w ogrodowej altanie, Laurel dała Joshui ostateczną odpowiedź.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Dzień dobry, pani doktor. Doktor Hartę, prawda? - zatrzymał ją męski głos.

Był październikowy poranek i przechodziła właśnie przez hol Szpitala Miejskiego w Riverton.

- Pan Foley? Co za niespodzianka! Boże, to naprawdę pan? Ale co pan robi w Riverton?

Mężczyzna wyglądał tak dobrze - miał zdrową opalenizną na twarzy i pogodny, błyszczący wzrok - że Laurel z trudem rozpoznała w nim pacjenta, którego wspólnie z Jarradem reanimowali na kardiologii w Gresham.

- Przeprowadziliśmy się z żoną do Riverton, żeby mieszkać bliżej córki. - Uśmiechał się promiennie, zadowolony z jej reakcji. - Przyjeżdżam tu od czasu do czasu na badania, poza tym do Gresham mamy tak niedaleko, że w razie potrzeby...

- Wygląda pan naprawdę wspaniale! Ktoś, kto nie wierzy w cuda medycyny, powinien obejrzeć pana! Nie do wiary...

Rozmawiali przez kilka minut o jego zdrowiu i o pracy Laurel w Chalmers Bay. Kiedy pożegnała się z nim i spojrzała na zegarek, stwierdziła z przerażeniem, że jest spóźniona. Wybierała się na zebranie personelu medycznego szpitala, na którym miała szansę przedstawić się i poznać nowych kolegów.

Wpadła bez tchu do ciasnej sali konferencyjnej połączonej z tarasem, który wychodził na wielki szpitalny ogród. Mężczyzna, którego nie знаła, wskazał ręką zarezerwowane dla niej krzesło. Usiadła i zagłębiła się w lekturze programu zebrania.

Podczas gdy wiele miejskich szpitali z powodu topniejących funduszy musiało ograniczać liczbę łóżek, Riverton korzystało z dotacji finansowych rządu, który reagował w ten sposób na eksodus mieszkańców wielkich miast do mniejszych i tańszych miejscowości otoczonych tysiącami hektarów farm.

- Nie zdąży pani już przeczytać całego programu - szepnął siedzący przy niej lekarz w średnim wieku - ale mogę go pani streścić. Będziemy dyskutować o kierunkach rozwoju szpitala, naborze nowej kadry medycznej - przy tej okazji zostanie nam przedstawiony nowy ordynator chirurgii - oraz o rychłym otwarciu nowego oddziału reumatologii. - Uśmiechnął się ironicznie. - Ekscytujące, prawda?

- Normalnie, jak każde zebranie. - Laurel odwzajemniła się uśmiechem i rozejrzała nieśmiało po sali.

Miejsce przewodniczącego zebrania zajmował doktor Wilf Crayford, dotychczasowy ordynator chirurgii, który rozpatrywał podanie Laurel o przyjęcie do pracy i przeprowadzał z nią rozmowę kwalifikacyjną. Odchodził już na emeryturę, ale zgodził się pracować jeszcze kilka tygodni, prawdopodobnie do Bożego Narodzenia, kiedy to miał przyjechać na stałe jego następcą.

- Proszę kolegów i koleżanki o ciszę - odezwał się doktor Crayford, uderzywszy przedtem w stół drewnianym młotkiem. - Mamy dzisiaj wiele spraw do omówienia, nie traćmy więc czasu. Zabierających głos prosiłbym o zwięzłe formułowanie myśli.

- Stary doktor nigdy nie traci czasu — mruknął jej sąsiad z konspiracyjną miną. - I zawsze jest zwięzły.

- W sprawie protokołu z ostatniego zebrania, który, mam nadzieję, wszyscy państwo czytali, nie powinno być wątpliwości. Omówię w skrócie główne jego punkty, ponieważ i tak czekamy na nowego ordynatora chirurgii. Jego sekretarka zadzwoniła, żeby uprzedzić nas o kilkuminutowym spóźnieniu. Niektórzy z państwa mieli już przyjemność poznać doktora Jarrada Lucasa, który przez kilka ostatnich miesięcy pracował w stacji arktycznej. Reszcie państwa przedstawię pana doktora, jak tylko się zjawi.

Laurel zakrztusiła się łykiem gorącej kawy. Dalsza część wypowiedzi doktora Crayforda była dla niej stracona. Widziała tylko usta wypowiadające słowa, których nie słyszała. Dlaczego Jarrad nic jej nie powiedział?

Może to był właśnie powód jego długiego milczenia. Poza zdawkową kartką z Meksyku nie napisał do niej ani słowa. Nie kontaktował się z nią także po jej trzytygodniowym pobycie w Anglii, do której poleciała, żeby odwiedzić rodziców.

Dopiero kiedy wróciła do Gresham, dotarło do jej świadomości, jak mało wie o życiu prywatnym Jarrada. Nie знаła nawet jego stałego adresu, nie znalazła jego nazwiska w miejscowej książce telefonicznej. Mogła oczywiście skontaktować się z nim za pośrednictwem służby zdrowia, na to jednak nie pozwoliła jej duma.

To przez jego przedłużające się milczenie - a był już początek października - czuła się coraz bardziej zgorzkniała, choć powtarzała sobie do znudzenia, że Jarrad nie ma wobec niej żadnych zobowiązań.

Jednocześnie rozpaczliwie pragnęła się z nim zobaczyć. Do dzisiaj. Nie, nadal tego pragnęła, ale nie tak... Nie chciała, żeby był jej szefem w nowym szpitalu. Wiedział przecież od dawna, że starała się o tę posadę. Znowu postawił ją przed faktem dokonanym! Cóż za pomysłowy akt zemsty za błędy przeszłości - jeśli rzeczywiście o to mu chodziło.

Kolejne pytania rodziły się w jej myślach i wszystkie pozostały bez odpowiedzi. Miotana sprzecznymi uczuciami wpadała z jednej skrajności w drugą, w żaden sposób nie mogąc skoncentrować uwagi na słowach przewodniczącego zebrania.

Kiedy wbiła wzrok w okno wychodzące na parking -pragnąc chyba podświadomie, żeby Jarrad wreszcie pojawił się - podjechało auto, z którego wysiadł właśnie on, a za nim jasnowłosa kobieta. Rozpoznała w niej Ginny - ale Ginny odmienioną, jakby ucharakteryzowaną do innej roli. W popielatym kostiumie z zamszu, w spódnicy do kolan i w butach na wysokich obcasach wyglądała bardzo atrakcyjnie, ale z pewnością mniej wyzywająco niż w Chalmers Bay, kiedy się poznały.

Laurel odwróciła głowę, świadoma, że wstrzymuje oddech, że serce bije jej jak oszalałe i że kręci jej się lekko w głowie.

Kiedy weszli do sali, w gwarze głośnych powitań i prezentacji nikt nie zauważył, że tylko ona, Laurel Hartę, została na swoim miejscu i patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Doktor Cray ford przedstawił Ginny jako sekretarkę Jarrada.

Nie wyglądał dobrze. Miał wychudzoną twarz o zapadniętych policzkach i zmęczone, dziwnie niespokojne oczy. Kiedy zajął miejsce obok prowadzącego zebranie, spojrzał na Laurel z ledwie dostrzegalnym, porozumiewawczym uśmiechem. Nie drgnęła nawet. Przeżona jego wyglądem, nie była w stanie odpowiedzieć mu ani uśmiechem, ani żadnym innym gestem.

Kiedy usłyszała wywołane głośno swoje imię i nazwisko, zmusiła się do chwilowego powrotu do rzeczywistości. Wstała niepewnie, kiedy doktor Crayford przedstawił ją jako nowego członka zespołu chirurgicznego.

Czasem zerknęła na Jarrada i stwierdzała, że cały czas patrzy na nią, ale jego spojrzenie nic jej nie mówiło. Siedział swobodnie, z ręką leżącą na oparciu krzesła Ginny, która skrzętnie coś notowała. Sekretarka w każdym calu, pomyślała Laurel nie bez złośliwości. Pochylona skromnie nad notatnikiem, z poważną miną i dyskretnym makijażem. Dlaczego nie używa dyktafonu?

Co tu się dzieje? O jakiego rodzaju kamuflaż chodzi naprawdę? Laurel czuła wściekłą, palącą zazdrość, która walczyła w niej o lepsze z

niepokojem o Jarrada. A może on i Ginny są już małżeństwem? A może tylko kochankami? Gdyby nie siedziała tak daleko od drzwi, wstałaby i wyszła, w tej sytuacji jednak nie mogła tego zrobić. Na razie postanowiła, że na pewno nie będzie pracowała z Jarradem.

W przerwie na kawę do Laurel podeszło kilku mężczyzn - nowych kolegów, którzy od początku zebrania zdawali się poświęcać więcej uwagi jej powierzchowności niż słowom doktora Crayforda.

Dopiero kiedy na moment została sama, podszedł do niej Jarrad.

- Cześć, Laurel! - Pochylił się szybko i pocałował ją w policzek. - Co u ciebie? Szkoda, że spotykamy się w takim tłumie.

- Wszystko dobrze - odpowiedziała, zaskoczona szorstkim tonem własnego głosu.

Z bliska jego twarz wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną. Straciła nadzieję, że będą kiedyś razem - miał przecież Ginny - ale musiała zapytać o jego zdrowie.

- Porozmawiajmy raczej o tobie. Nie wyglądasz dobrze, Jarrad. Miałam nadzieję, że odezwiesz się, powiesz mi, jak się czujesz. W końcu to ja pierwsza cię operowałam. I powiedz mi, z łaski swojej, jak to możliwe, że ni stąd, ni zowąd zostajesz ordynatorem chirurgii akurat tutaj. Nie wspomniałeś o tym ani słowem w Chalmers Bay. To nielojalne z twojej strony - delikatnie mówiąc!

- Ubiegałem się jednocześnie o kilka posad. W Chalmers Bay nie wiedziałem jeszcze, że tu mnie przyjmą. Wyszedłem ze szpitala w nie najlepszym stanie. To długa historia, nie mogę opowiedzieć ci wszystkiego w tej chwili. Ginny opiekuje się mną. To jej decyzja - zakończył prawie szeptem.

- Jarrad, ja nie wyobrażam sobie... To niemożliwe, żebyśmy znowu razem pracowali - oświadczyła drżącym głosem. - Nic dobrego by z tego nie wynikło.

Takim samym stwierdzeniem pożegnała się z Joshua, choć z zupełnie innego powodu.

- Dlaczego tak uważasz?

- Chociażby z powodu rywalizacji, której tak nie lubiłeś - odparła z goryczą. - Zabawne... Wygląda na to, że kółko się zamknęło. Spotkałam dzisiaj rano pana Foleya, naszego ostatniego pacjenta z Gresham.

- Pamiętam go doskonale - oznajmił, jakby w ten sposób dając jej do zrozumienia, że on także nie zapomniął ani jednego ze słów, które padły między nimi tamtego dnia.

- Rezygnuję z tej pracy. Jutro wręczone ci oficjalne wypowiedzenie - powiedziała rozszalona.

- To nierozsądne, Laurel. Spróbuj nie być w gorącej i wodzie kąpana - przemówił do niej jak do niesfornego dziecka. - Nie przyjmę twojej rezygnacji. Poza tym do Bożego Narodzenia rządzi tu Wilf Crayford, ja jestem tylko nominalnym szefem. Musisz wręczyć tę rezygnację jemu, jeśli będziesz na tyle głupia, żeby się na to zdobyć.

- Mimo wszystko chciałabym zrezygnować i wręczyć wypowiedzenie tobie.

- Nie, wcale byś nie chciała. Zresztą, i tak nie pozwoliłbym ci odejść bez pocałunku na pożegnanie. A to nie jest najważniejsze miejsce ani pora.

Ktoś podszedł do Jarrada, przepraszając Laurel.

- Porozmawiamy później - powiedział cicho. - Będziesz za tydzień na weselu Bonnie Mae w Edmonton?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Proszę cię, Laurel, nie podejmuj do tego czasu żadnych nieodwracalnych decyzji. Porozmawiamy tam spokojnie o wszystkim, jeśli wcześniej nie będzie okazji. Zgoda?

Nie odpowiedziała. Czy mogła mu wierzyć - tylko dlatego, że bardzo tego chciała? Max zawiódł ją tyle razy. W końcu Jarrad znał Ginny o wiele dłużej niż ją. Który mężczyzna o zdrowych zmysłach zrezygnowałby z pięknej Ginny?

- Doktor Hartę! - Usłyszała za plecami znajomy, nieco piskliwy, damski głos. - Jarrad mnie prosił, żebym zamieniła z panią kilka słów, żeby wyjaśnić, rozumie pani, wyprostować sytuację. - Ginny uśmiechnęła się czarująco, patrząc Laurel śmiało w oczy. - Słowo daję! Tak się cieszę, że panią widzę!

- Jaką znowu sytuację? - Laurel przerwała jej gwałtownie, czując, że zbliża się do kresu wytrzymałości.

- Nie jestem sekretarką Jarrada. Powiedzmy, że pełnię jej obowiązki, dopóki Jarrad nie znajdzie sekretarki z prawdziwego zdarzenia. Na pewno się pani domyśliła.

- Na pewno - odparła Laurel z wymuszonym uśmiechem.

- Jarrad ciężko zachorował. Stało się to w Dallas, w drodze powrotnej z Meksyku. Traf chciał, że miałam wtedy rejs do Cancun, z międzylądowaniem w Dallas. Dobrze, że tam byłam. Miał zawał płuca - w samolocie, kiedy podchodziliśmy do lądowania. Wezwali przez radio karetkę. Miał szczęście w nieszczęściu, bo jestem pielęgniarką. Wiedziała pani, że mam dyplom pielęgniarski?

- Nie, nie wiedziałam...

- No więc jestem dyplomowaną pielęgniarką! Kiedy wymyśliłam sobie, że zostanę stewardesą, z takim dyplomem przyjęli mnie od razu, z pocałowaniem ręki! No, może wygląd też swoje zrobił... - Uśmiechnęła się kokieterystycznie.

- Nie miałam pojęcia o jego płucu. - Laurel, przerażona, postanowiła rozmawiać z Ginny otwarcie. - Prawdę mówiąc, nie miałam od niego żadnych wiadomości. Bardzo się niepokoiłam. Mógł mi chyba wyświadczyć tę uprzejmość i odezwać się. Strasznie się o niego bałam.

- Jarrad był w takim stanie, że przez dłuższy czas mógł tylko leżeć na plecach. Naprawdę było z nim kiepsko. Tak kiepsko, że lepiej nie mówić! Mógł umrzeć na miejscu, w samolocie. Zdaje się, że to przez tę ranę postrzałową barku. Złapał też zakażenie.

- O Boże, gdybym wiedziała...

- Nie dzwonił do nikogo ani nie pisał listów, to na pewno!

- Rozumiem... Co mi jeszcze chciała pani powiedzieć,! Ginny? Czy wy pobieracie się?

Ginny wybuchnęła głośnym, perlistym śmiechem.

- Rany, co za pytanie! Chętnie bym za niego wyszła, tylko nie poprosił mnie o rękę. - Zerknęła na Laurel spłoszonym wzrokiem. - Nie. Wątpię, żeby było nam to pisane. Ja i Jarrad jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi. Bardzo dobrymi przyjaciółmi. Dwa lata temu operował moją matkę; uratował jej życie, za co będę mu dogonnie wdzięczna. Ona też, oczywiście. - Ginny roześmiała się znowu, zachwycona własnym dowcipem. - Poza tym był zaręczony z moją siostrą, Nicole. Ona też ma „dr” przed nazwiskiem! No i tak go poznałam. Mojej siostrzyczce musiało odebrać rozum, że z nim zerwała! Ja dla Jarrada zrobiłabym wszystko. Aaabsolutnie wszystko!

- Wierzę pani - powiedziała Laurel, tym razem bez cienia złośliwości. - Dobrze, że właśnie pani przy nim była. Dlaczego... dlaczego pani siostra zerwała zaręczyny?

- Poznała dużo starszego faceta, strasznie nadzianego. I to jej zaimponowało. Nie kochała go - Ginny parsknęła śmiechem - ale bardzo kochała jego pieniądze. Mieszkają teraz w Kalifornii. Nicole nie musi nic robić, jeśli sama nie ma na to ochoty. Czasami, żeby nie wyjść z wprawy, robi operacje plastyczne bardzo znanym ludziom: reżyserom, gwiazdom filmowym. Zabawne, jak to się dziwnie plecie... Nicole była tak ambitna na studiach i okropnie zaborcza wobec Jarrada.

Chwilę później zebranie zostało wznowione i trwało do czwartej po południu. Laurel po wszystkim, co usłyszała od Ginny, była oszołomiona i

zdezorientowana. Postanowiła poczekać na Jarrada w swoim samochodzie na parkingu przed szpitalem. Nie wiedziała, co dalej robić. Gratulowała sobie rozsądnej decyzji, że nie sprzeda mieszkania w Gresham, dopóki nie upewni się, że praca w Riverton jej odpowiada.

W końcu Jarrad wyłonił się zza drzwi, otoczony grupką przyszłych kolegów. Zatrzymali się i długo jeszcze rozmawiali, podczas gdy Laurel wdychała niecierpliwie, zaciskając palce na kierownicy. Widziała, jak Ginny - zmęczona czekaniem na stojąco - odchodzi do samochodu. Kiedy wreszcie Jarrad uwolnił się od towarzystwa i szybkim krokiem ruszył za nią, Laurel wysiadła i zagroziła mu drogę.

- Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? Nie dałeś znać, że byłeś tak poważnie chory? - pytała z pretensją w głosie. - Nie przyszło ci do głowy, że miałam prawo o tym wiedzieć?

- Byłem w takim stanie, że nie bardzo mogłem cię szukać. Kiedy dotarłem w końcu do twoich znajomych w Gresham, powiedzieli mi, że wyjechałaś do Anglii i nie wiadomo, kiedy wrócisz.

Laurel musiała przyznać, że brzmiało to rozsądnie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że po opuszczeniu Edmonton była dla Jarrada równie nieuchwytna jak on dla niej.

- Dlaczego Ginny? - spytała.

Nie rozmawiali już o jego chorobie ani o jej pracy. Niespodziewanie znaleźli się na nieznanym terytorium, świadomi, że muszą być bardzo ostrożni.

- Była tam - odpowiedział zwyczajnie - kiedy znalazłem się w potrzebie.

- A mnie nie było?

- Właśnie.

- Co ona o tym wszystkim myśli?

- Uważa, że jest mi coś winna. Operowałem kiedyś jej; matkę. Nie spodziewałem się nigdy dowodów wdzięczności, ale ona wie swoje. To wszystko, nic więcej mnie z nią nie łączy. Zastanawiałem się, czego nie wyszłaś do tej pory za starego Josha.

- Nie wyszłam.

- Posłuchaj, Laurel, nie możemy powiedzieć sobie wszystkiego tutaj. Oboje mamy mnóstwo zajęć. Spotkamy się na weselu Bonnie i wtedy porozmawiamy. Na razie nie mam zamiaru przyjąć twojej rezygnacji. I prosiłem już Wilfa Crayforda, żeby nie zrobił tego za mnie.

Musnął dłonią jej policzek, a potem pocałował ją w usta. Laurel zamknęła oczy.

- Tęskniłem za tobą - szepnął. - Zobaczymy się za tydzień, w Edmonton.
Zgoda?

- Uhm... tak - szepnęła żałośnie.

Nic więcej nie mogła powiedzieć. Wiedziała, że Jarrad jej pragnie i że nie wątpi w jej wzajemność. Udawanie, że jest inaczej, byłoby po prostu hipokryzją.

RS

RS